Nr. 158. Lwów — Piątek dnia 14 Lipca. Rok 1905.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.
Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi w kraju i Austryi miesięcz. 2 k. 20 h. w Niemczech . . 3 „ — „ w innych Państwach . . 4 „ — „ Za zmianę adresu dopłaca się 40 „ Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.
Prenumerata we Lwowie miesięcznie 2 k. Numer kosztuje we Lwowie . . 8 h. na prowincyi . . 12 h. Numera z poprzednich dni po 20 h.
Wszelkie DONIESIENIA PRYWATNE o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, opisy uczt i zabaw prywatnych, reklamy dla balów, odczytów i koncertów, spisy składek, doniesienia o zgubach, znalezionych przedmiotach i t. d. po 1 k. od wiersza.

# PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

OGŁOSZENIA I PRZEDPŁATĘ MIEJSCOWĄ przyjmuje wyłącznie: Ajencya dzienników Sokołowskiego we Lwowie Pasaż Hausmana 1. 9. Ceny ogłoszeń: Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy: wiersz petitowy albo jego miejsce 20 h. W drobnych ogłoszeniach tłustym petitem za każde słowo tłustym garmondem korespondencye prywatne
Nadesłane na trzeciej stronicy: Ogłoszenia: wiersz petitowy albo jego miejsce . . . 60 h Reklamy po kronice wiersz petit 1 k. Ogłoszenia na czele numeru na pierwszej stronicy wiersz petitowy . . . 60 h.

Dziś: św. Bonawentury, Kosmy i Dam. | Jutro: Rozesłanie Ap., Złoż. szat NMP. | Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45. | Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski. | Rękopisów Redakcya nie zwraca. | Wschód słońca o godz. 4 m. 20, Zachód „ „ 7 m. 48 | Długość dnia godzin 15 m. 28, Ubyło dnia od wczoraj 2 m.

## Opowieść Matuszenki.

Rewolucyjnym dowództwą „Kniazia Potemkina" był technik Matuszenko, który dla łatwego szerzenia socyalizmu między robotnikami sam stale pracował jako robotnik w odeskich kolejowych warsztatach. Był tam palaczem w ogrzewalni lokomotyw. Kiedy odescy socyaliści postanowili zbuntować flotę morza Czarnego, — a już mieli w niej licznych towarzyszy — wówczas powszechnem głosowaniem wybrali z pomiędzy siebie delegata, apostoła buntu. Na Matuszenkę padło 20.900 głosów. Podajemy tę cyfrę, aby dać wyobrażenie o liczebnej sile odeskiego zastępu socyalistów. Matuszenko, jako mandataryusz rewolucyonistów, udał się do Sebastopola i tam łatwo dostał posadę palacza na pancerniku „Kniaź Potemkin", a teraz w Constanzy szczerze opowiadał wysłanym z Bukaresztu dziennikarzom rumuńskim cały przebieg rokoszu. Mówił tedy, że bunt na „Potemkinie" był nawet dla niego niespodzianką i to niespodzianką przykrą. Dwa inne okręty były już zupełnie przygotowane do rokoszu, a na „Potemkinie" dopiero się zaczęła robota. Nie chciano jeszcze wybuchu. Zamierzano pozyskać załogi wszystkich okrętów i wszystkich robotników w dokach i warsztatach, a także żołnierzy. Robota szła nadspodziewanie dobrze, bo się okazało, że grunt był świetnie przygotowany przez same stosunki, przez nadużycia przełożonych, po prostu wreszcie przez atmosferę rewolucyjną. Matuszenko nieraz się przekonał, że ktoś zupełnie mu nieznany, a na własną rękę pracował jak on. Jednym z takich był mechanik na „Potemkinie", oficer K., który chociaż także znajduje się teraz w Rumunii, ale z ważnych powodów musi zachować w tajemnicy swe nazwisko. Litera K. jest pierwszą w jego pseudonymie. Naszem zdaniem, tajemniczość ta zbyteczna, bo 50ciu majtków z „Potemkina" zdało się rosyjskiemu kontradmirałowi Pisarewskiemu na łaskę i niełaskę, tak samo, jak cała załoga torpedowca nr. 267. Ci żołnierze oczywiście powiedzą na sądzie, kogo z oficerów zabito, kogo utopiono, a kogo zostawiono jako swoich. Znajdzie się tam i ów K.

Lecz ciągniemy dalej opowieść Matuszenki. Spiskowcy zamierzali wywołać rokosz nieco później, kiedy już wszystko będzie gotowe. Wtedy Sebastopol, jako silna twierdza morska, olbrzymi skład żywności i amunicyi, miał się stać stolicą rokoszanów, rozporządzających wojskiem i flotą. Ogłoszonoby republikę, a jej pierwszem terytoryum byłby Krym, do którego przystęp z lądu rosyjskiego łatwoby się zamknęło przez zburzenie kolei na Ardabadzkiej Kosie i przez ostrzeliwanie z okrętów Perekopu. Lecz wybuch na „Potemkinie" nastąpił za prędko i zepsuł cały plan. Załoga „Potemkina" nie była jeszcze w całości pozyskana. Wśród niej znajdowało się zaledwie 200-tu sprzysiężonych, drugie tyle było chwiejnych, a ze 400-stu obojętnych. Spiskowcy spodziewali się, że wszystkich opracują podczas ćwiczeń w otwartem morzu, na które właśnie wypływano. Lecz tu niestety stała się niespodzianka. Wikt był tak zły, że żołnierze wyrzucali go za bort, a żywili się tylko sucharami. Trzeciego dnia ćwiczeń pokazali żołnierze pomocnikowi kapitana, „starszemu oficerowi" Gilorowskiemu pełne robactwa mięso, wydane do kotła. Starszy oficer zburczał żołnierzy, a do jednego z nich zawołał: „Ty, Omelczuk, ciągle się buntujesz, poczekaj, już ja ci dogodzę!" — a Omelczukowi, że to był człowiek popędliwy, a do tego hardy kupiecki synek, aż oczy się zapaliły, lecz zmilczał. A wtem podsunął się lekarz okrętowy, spojrzał na mięso i rzekł: „No, i cóż, że są robaki? Całkiem one młodziutkie, jeden dzień dopiero żyją. Jeść można". — „A to jedzże, psi synu!" — huknął Omelczuk i mięsem cisnął w gębę lekarzowi. Wtedy zaś starszy oficer zabił z rewolwera Omelczuka, a żołnierze, porwawszy oficera, wyrzucili go za bort. Prędzej to się stało, niż można się było opamiętać. Kapitan z rykiem, z wydobytą szablą, rzucił się z mostku na żołnierzy, więc go wzięto na bagnety i w morze. Potem przyszła kolej na niektórych innych oficerów, którzy się stawiali. Oto i wszystko. Co było robić? Plan przepadł, pozostawało tylko liczyć na Odesę, gdzie spiskowców mnóstwo, więc kiedy już nie można było myśleć o zagarnięciu Sebastopola, popłynął „Potemkin" prosto z ćwiczeń do Odesy, aby ją podnieść, a opanować. Tam już o wszystkiem wiedziano, bo ćwiczenia się odbywały w zatoce Tendra, tuż pod Odesą. Majtkowie na okrętach, lud na brzegu, strażnicy portowi — wszyscy powitali „Potemkina" radosnymi okrzykami. Ale tuż za „Potemkinem" przypłynęła cała eskadra Kriegera, która strzelać nie mogła, bo miała naboje tylko ćwiczeniowe, naładowane jeno piaskiem, a w dodatku załogi krzyczały „Potemkinowi" „hurra!" Krieger tylko zasygnalizował: „Coście wy, nieszczęśliwi, zrobili?" A „Potemkin" odpowiedział: „Przyjedź, to powiemy". Krieger jednak zaraz z całą eskadrą popędził do Sebastopola. Oczywiście po naboje się udał, po torpedy, więc „Potemkin" postanowił udać się do Constanzy, a po drodze zatrzymał się w Akkermanie, aby dostać żywności, bo żołnierze byli głodni. W Constanzy nie chciano przyrzec, że załoga nie będzie wydana Rosyi, kazano czekać na rozkazy z Bukaresztu, a nie można było czekać, bo mógł nadpłynąć Krieger. Tedy „Potemkin" pomknął do Teodozyi i tam zażądał żywności. Z razu dać jej nie chciano, potem przyrzeczono, więc „Potemkin" wysłał po nią łodzie. Mieszkańcy znieśli wszystkiego huk: mąki, krup, wędlin, wina, wody do picia, tytoniu, cukru, herbaty i siedm przypędzili wołów. Ale kiedy to ładowano na łodzie, wyrwały się gdzieś z boku dwie setki kozaków dońskich, dały ognia i zaraz potem w szable. Dużo tam padło ludzi, a z załogi „Potemkina" sześciu, więc łodzie odpłynęły z odrobiną żywności. Ale to nieprawda, że „Potemkin" strzelał, albo groził. Wszakże na nim nie zbóje byli, lecz serdeczni przyjaciele ludu. I to nieprawda, że „Potemkin" zatrzymywał okręty i zabierał im żywność a węgiel. Nie było co jeść i ani kropli słodkiej wody, więc znowu do Constanzy, bo może tam już nadszedł rozkaz z Bukaresztu. Jakoż nadszedł, że załoga nie będzie wydana Rosyi, więc „Potemkin" się poddał. Nie nadeszła jeszcze chwila na rokosz — zakończył swe opowiadanie Matuszenko, — ale już bliska.

Przytoczyliśmy tę opowieść, bo ona pokazuje, że ten bunt nie był jednak taki, jakim go przedstawiali koloryzujący korespondenci. Rosyjscy rewolucyoniści mają powód żałować, że on powstał, bo teraz już z pewnością przepadły ich plany.

## Przyszłość anglo-niemiecka.

Radość w Paryżu i radość w Berlinie: francuski prezes gabinetu i zarazem minister spraw zagranicznych p. Rouvier oznajmił w izbie deputowanych, że zatarg o Marokko już nie istnieje. Sułtańska niepodległość pozostanie nietknięta, reformy dla sułtanatu obmyśli konferencya międzynarodowa, wszystkie państwa będą miały równe prawa handlowe, ale specyalne umowy Francyi z Anglią i Hiszpanią pozostają w mocy, wprawdzie jeno o tyle, o ile nie naruszają interesów niemieckich, lecz ponieważ nic w nich takiego nie ma, przeto pozostają w całości. P. Rouvier nie wspomniał o tem, że Francya zamierzała osiągnąć w Marokku to samo, co w Tunisie, to znaczy, aby mogła załatwiać stosunki dyplomatyczne sułtana z innemi państwami, ale skoro Francya drżała na samą myśl o niemieckim gniewie i sen straciła przez cały ciąg zatargu, to naturalnie nie dba o koszta, byle z piersi spadł jej ciężki kamień obawy, że może być wojna. W Berlinie także są bardzo radzi i z większą słusznością niż w Paryżu, bo wszakże, nawet nie położywszy dłoni na rękojeści szabli, obalił Bülow francuskie dążności do powolnego przekształcenia Marokka w kolonię. Nie radzi są tylko w Londynie, ponieważ następstwem tryumfu Niemiec będzie wzrost ich wpływu w sułtanacie marokkańskim, który wszedł na drogę takiej zależności od Berlina, w jakiej już znalazła się Turcya. W cierpkich artykułach piszą o tem londyńskie dzienniki. Przytoczymy tu jedno zdanie, bodaj najważniejsze, bo wypowiedziane przez wybitnego członka izby gmin i polityka, którego Anglicy nawykli uważnie słuchać, przez Karola Dilke'go. Pisze on w *National Revue*:

„Od roku 1871-ego Niemcy stopniowo przekształcają się z państwa rolniczego w przemysłowe i niemal z każdym rokiem ich byt materyalny, budżet, spokój wewnętrzny, zależny od pomyślności warstwy robotniczej, wpada w coraz większą zawisłość od ich handlu zamorskiego: muszą wywozić fabrykaty, a dowozić surowce. Stosownie do tego wciąż szukają nowych rynków i we wszystkich częściach świata już mają polityczne interesa. Trudno dziś cokolwiek poruszyć bez potrącenia o tak zwane niemieckie interesa. Skoro się tak rozwija zamorski handel Niemiec, to musi odpowiednio rozwijać się ich marynarka kupiecka, a więc także i wojenna. Jakoż widzimy, że tak jest. Ale kto ma liczną flotę bojową, ten powinien mieć dla niej własne morze, niby koszary marynarki. Dowodzić tego nie trzeba. Więc też Niemcy starają się, aby takiem morzem dla nich stało się Północne, bo innego zgoła nie mają, ponieważ Bałtyk posiada tylko lokalne znaczenie. Dopóki morze Północne nie należy do Niemiec, dopóty nie są one pewne swych rynków zagranicznych i nie mogą rozpocząć żadnej akcyi politycznej, zależnej od floty, bo Anglia może w każdej chwili po prostu zdmuchnąć tę flotę. Nieznośne położenie dla tak wielkiego mocarstwa, które wciąż musi zdobywać sobie nowe rynki! Nie można tedy się dziwić temu, że Niemcy pragną wyjść z tego położenia. Ale jak wyjść, kiedy przecież nasze panowanie na morzu Północnem jest dla Anglii kwestyą największej wagi, poprostu kwestyą życia. W równym stopniu potrzebne ono im i nam. Położenie bez wyjścia. Tragedya, powiada Hegel, nie wtedy, gdy się zetrze prawość z nieprawością, lecz kiedy zatarg powstanie między dwiema prawościami. Taka właśnie tragedya wytwarza się między Anglią a Niemcami, zbliżyła zaś ją sprawa marokkańska, zbliża wszystko zgoła. To fatalność, skutek wypadków w roku 1871-ym, nieodwołalny skutek. Nic nie pomoże narzekać, albo się irytować w Anglii na Niemcy, w Niemczech na Anglię. Te mocarstwa być muszą, a więc muszą się pobić o panowanie na morzu Północnem. Być może, że berliński „sam sobie kanclerz" zechce przyśpieszyć załatwienie tej sprawy, dopóki Rosya nie wygoi ran swoich, dlatego chwalę odwołanie części naszej eskadry z wód chińskich właśnie na morze Północne".

## Korespondencye.

Wiedeń 11 lipca.

*(Bilans ubiegłej sesyi parlamentarnej i działalności bar. Gautscha.)*

(y.) Przywódzca katolickiego centrum w Radzie państwa, dr. Ebenhoch, marszałek krajowy Austryi Górnej, ogłosił w *Fremdenblacie* artykuł pod tytułem „Epilog ostatniej sesyi", zawierający niejako bilans tego wszystkiego, co Rada państwa zrobiła od czasu, gdy baron Gautsch objął ster rządów, a zarazem bardzo trafną i rzeczową charakterystykę działalności samego barona Gautscha w tym okresie. Dr. Ebenhoch zabierał nieraz głos w krytycznych chwilach polityki wewnętrznej Austryi lat ostatnich i zawsze wywierał silne wrażenie, bo jest to człowiek bardzo rozumny i sprawiedliwy w swym sądzie o ludziach i wypadkach, dlatego też i teraźniejsza apologia, jaką poświęca parlamentowi i naczelnikowi rządu, zasługuje na to, by ją traktowano poważniej, niż zwykły artykuł dziennikarski, mający wartość aktualną tylko przez kilka godzin i skazany na więdnięcie jak liść w jesieni.

Na wstępie podnosi dr. Ebenhoch, że każdy trzeźwy i niezaślepiony namiętnością partyjną polityk, musi przyznać, iż cała sesya ostatnia jest kolosalnym sukcesem bar. Gautscha. Ostatnia zmiana gabinetu zaskoczyła Izbę, a gwałtowne fale obstrukcyi jeszcze uderzały o jej ściany, gdy nowy prezes gabinetu zaprosił do siebie wielu posłów na nieobowiązujące do niczego konferencye „Mimo tak sympatycznego rozpoczęcia rządów — pisze dr. Ebenhoch — nie należałem zrazu do optymistów, przepowiadających, że nowemu szefowi rządu uda się rychło przełamać ciężką kryzis, to też tem bardziej cieszę się dziś z tego, że się myliłem. Wystarczy wyliczyć tylko niektóre sprawy, załatwione przez Radę państwa, aby zrozumieć należycie całą doniosłość sukcesu bar. Gautscha. Uchwalono w drodze konstytucyjnej kontyngent rekrutów, wybrano deputacyę kwotową, zezwolono na refundowanie kilkudziesięciu milionów, wziętych przez poprzedni rząd z zapasów kas państwowych, uchwalono prowizoryum budżetowe, przez co dano gabinetowi możność administrowania państwem w sposób zgodny z konstytucyą, uchwalono nową autonomiczną taryfę celną, będącą podwaliną przyszłego ułożenia się stosunków gospodarczych Austryi. Punktem kulminacyjnym sukcesu bar. Gautscha jest jednak załatwienie przez Izbę traktatu handlowego z Niemcami, gdyż przez to ochroniono tę połowę monarchii od ewentualnego szkodliwego oddziaływania na jej stosunki chaosu, jaki panuje na Węgrzech. Uchwalenie przez Izbę kredytu na pokrycie przekroczenia kosztów budowy kolei alpejskich świadczy o wielkiej zręczności, z jaką bar. Gautsch umiał obronić interesa prowincyi alpejskich przeciw bardzo silnej opozycyi parlamentarnej.

Zastanawiając się nad przyczynami tego tak ogromnego tryumfu bar. Gautscha, dochodzę do wniosku, że bezwątpienia w znacznej mierze przyczyniła się do tego ta okoliczność, iż obstrukcya została zdyskredytowana, a wśród ludności coraz silniej objawiało się pragnienie parlamentarnego pokoju. Wszelako nawet największy wróg bar. Gautscha musi przyznać, że okazał się on niezrównanym mistrzem w wyzyskaniu tej ogólnej dyspozycyi, sprzyjającej uzdrowieniu stosunków parlamentarnych. Uprzejmość, z jaką występuje zawsze wobec wszystkich stronnictw i ich członków bez narażenia w czemkolwiek własnej godności i powagi naczelnika rządu, energia, z jaką broni interesów państwa, wytrwałość, z jaką przeprowadza swe plany, a wreszcie jego — że się tak wyrażę — uczciwość w działaniu, widoczna na pierwszy rzut oka — oto tajemnica jego powodzenia.

Z zamknięciem sesyi obecnej nie skończyła się jednak praca szefa gabinetu. Przeciwnie. Baron Gautsch, który tak bardzo liczy na współdziałanie i pomoc parlamentu, będzie miał w ciągu lata trosk niemało, i niejedną noc bezsenną spędzi przemyśliwając, czy będzie mógł podzielić się z Izbą pomyślnemi nowinami w ponownem jej zebraniu się. Przytem czeka go ogrom prac, wchodzących w zakres programu, jaki ułożył sobie rząd. Trzeba rozpocząć budowę kanałów, wdrożyć akcyę celem upaństwowienia kolei prywatnych, podnieść i wyposażyć lepiej uniwersytety i tyle, tyle innych jeszcze spraw załatwić. Najtrudniejszą jednak ze wszyskich kwestyi, jakie br. Gautsch ma załatwić, jest kwestya, a właściwie cały kompleks kwestyi, odnoszących się do stosunku Austryi do Węgier. Zdaje mi się jednak, że i co do tych kwestyi ludność Austryi z całym spokojem może zaufać szefowi rządu, tem bardziej, że zamiarem jego jest nie przedsięwziąć nic stanowczego bez porozumienia się z parlamentem, i że przyrzekł zwołać go w tej chwili, skoro tylko stosunki węgierskie będą tego wymagały. Parlament rozchodzi się na wakacye z uczuciem zadowolenia, że uczciwie spełnił swój obowiązek i oddał ojczyźnie wielką przysługę, wszystkie jednak stronnictwa muszą przyznać, że bar. Gautschowi należy się lwia część zasługi za to, że tak piękny rezultat osiągnięto".

## Wypadki w Rosyi.

**Tyflis.** Przy rewizyach domowych znaleziono 112 bomb. Na stacyi Michajłowo aresztowano pewnego człowieka, który miał przy sobie bombę.

**Mińsk.** Ubiegłej nocy rzucono bombę w pobliżu domu gubernatora. Jeden policyant i jeden kozak są ranni.

**Mińsk.** Onegdaj wieczorem kilkutysięczny tłum urządził tu demonstracyę. Kozacy dali ognia, z tłumu odpowiedziano strzałami rewolwerowymi. Liczby ranionych dotychczas nie stwierdzono.

**Rewl.** Na okrętach „Minin" i „Kreml", na których obawiano się wybuchu buntu, zakazano marynarzom używać karabinów.

**Rewl.** Około 700 marynarzy nie chciało wczoraj przyjąć obiadu i wysłało do komendanta oddziału deputacyę ze skargą na złe pożywienie. Komendant skosztował pożywienie i uznał je za zupełnie złe. Kapitan kompanii, który był zarządcą menaży, został usunięty z jej kierownictwa. Marynarze wnieśli skargę, że kapitan część pieniędzy, przeznaczonych na pożywienie dla nich, sprzeniewierzał dla siebie.

## Wojna rosyjsko-japońska.

**Petersburg.** Wyznaczony na pełnomocnika podczas rokowań pokojowych ambasador rosyjski w Rzymie, Murawiew, zachorował i prawdopodobnie nie będzie mógł wyjechać do Waszyngtonu. Pełnomocnikiem Rosyi mianowany będzie prawdopodobnie Witte. Decyzya zapadnie za kilka dni.

**Pekin.** Rząd chiński zawiadomił niedawno posłów rosyjskiego i japońskiego, oraz innych posłów, akredytowanych w Pekinie, że rząd chiński nie przyjąłby takich umów konferencyi pokojowej, któreby kwestyonowały interesy chińskie, jeśliby delegaci chińscy nie brali udziału w obradach. Rząd japoński odpowiedział na to grzecznie, ale wyraźnie, że nota chińska w żaden sposób nie może wpłynąć na plany i akcyę japońską. Rząd rosyjski dotychczas nie dał odpowiedzi.

**Charbin.** Rozpowszechnione zagranicą pogłoski o dżumie w Charbinie są zupełnie nieprawdziwe. Dżumy nie ma ani w Charbinie, ani na froncie armii.

**Wiedeń.** W kasie banku austro-węgierskiego subskrybowano wczoraj 3,141.845 funtów szterlingów na przyznaną Austryi przez konsorcyum banków angielskich pożyczkę dla Japonii w sumie 10 milionów funtów szterlingów. Dnia 11 bm. subskrypcya została zamkniętą.

**Petersburg.** Generał Liniewicz telegrafował 10 bm.: Dnia 9 bm. zbliżyły się dwie kompanie japońskie do naszych straży przednich koło Liniaotse. Gdy nasze straże przednie otrzymały posiłki, zmusiły nieprzyjaciela ogniem karabinowym do cofnięcia się.

**Londyn.** Do *Timesu* donoszą z Tokio, iż pełnomocnicy japońscy otrzymali rozkaz zerwać natychmiast rokowania pokojowe w razie, gdyby pełnomocnicy rosyjscy podnieśli zasadnicze trudności przeciw żądaniom japońskim. Pomimo przygotowań do konferencyi pokojowej, operacye przeciw Władywostokowi trwają dalej bez przerwy, a również okupacya Sachalinu będzie kontynuowaną.

## Akcya ku popieraniu turystyki w kraju.

Kraków 12 lipca.

Jest obecnie w toku sprawa niezwykle ważna, bo mogąca w stosunkowo nieodległej przyszłości stać się źródłem nawet bardzo wielkiego dochodu dla kraju. Niestety, dotąd sprawa ta słabem dopiero odbiła się echem nie u szerokich warstw, lecz nawet u osób zainteresowanych. Mamy na myśli znaną już naszym czytelnikom akcyę ku popieraniu turystyki w kraju, zainicyowaną przez dyrektora kolei radzcę dworu pana Wierzbickiego. Z jego to inicyatywy odbyła się przed około mie-

60)

G. ROVETTA.

## PANIENKA

*(La Signorina)*

Powieść

Przekład z włoskiego.

(Ciąg dalszy).

Franciszek przypomniał sobie małe dziewczątko, Lulu, która mu stanęła przed oczyma w dużym kapeluszu różowym... I uśmiechnął się.

— Mała Lulu była zawsze despotką!

Przybywszy do willi, Roero zsiadł z konia i zatrzymał się w ogrodzie. Pogłaskał Flika i Floka, owe dwa wielkie psy, które radośnie skakały na swego pana powitanie. Poczem żartował ze stróżem i jego żoną.

— Ile macie dzieci, a raczej, ile ich będzie?

— Siedmioro, proszę pana.

— Siedmioro? Na Boga! Zdrowe tu powietrze, w Lodignoli.

Następnie ogrodnik oprowadzał go po ogrodzie. Rośliny ładnie rosły. Roero chwalił wszystko, wszystko mu się podobało.

Wieśniacy, którzy przechodzili drogą, zobaczywszy pana w ogrodzie, stawali, by go powitać.

— Lubią mnie — pomyślał sobie. — Nie wiedziałem o tem, że jestem tak popularny w Lodignoli. To wszystko zawdzięczam nowej linii tramwajowej, szczególniej zaś pani Eugenii.

Zamówił śniadanie:

— Dwa jaja na maśle i kotlet. Żeby wszystko było gotowe na jedenastą godzinę. Pamiętaj — zawołał do Patrycya, następcy nieboszczyka Jana — punkt na jedenastą! Tymczasem wykąpię się i ubiorę.

Jaka świetna kąpiel!... jaka zimna woda, przeźroczysta, orzeźwiająca.

Zjadł szybko śniadanie i nie zważając na upał i słońce, pośpieszył do starego dworku.

. . . . . . . . . . . .

— Otóż jestem, kochana pani Eugenio! Proszę pani o filiżankę tak słynnej kawy.

Przywitano go okrzykami radości.

Pani Eugenia ucieszyła się nad wyraz niespodziewanem zjawieniem się pana Franciszka; Ludwika oświadczyła, że pan wygląda bardzo młodo, Helena zaś uradowana i szczęśliwa pobiegła ku niemu, jak gdyby mu się chciała rzucić na szyję. Franciszek stanął nieco zakłopotany; nie ucałował Heleny, lecz ujął jej ręce i poprowadził do okna.

— Pójdź tu bliżej, do światła; zobaczymy, czy moja córeczka wypiękniała, czy też zbrzydła. Nie zrzekam się bynajmniej praw tatusia!

— Tatuś, tatuś... — rzecze Ludwika z grymasem, kiwając głową. — Muszę panu powiedzieć, że panienka może się pochwalić, że ma tatusia tak młodego i tak przystojnego.

Na te słowa pani Eugenia, zajęta mocno przyrządzaniem kawy, uśmiechnęła się z zadowoleniem, Roero zaś bardzo rad z tego komplimentu, chociaż udawał, że nie słyszał, przypatrywał się wciąż Helenie, która znów ze swej strony uśmiechała się i rumieniła, nie spuszczając jednak oczu z Roera.

— Niczego... panienka; jestem dosyć z niej rad.

Helena stanęła cała w ogniu; roześmiała się, lecz nie spuściła wzroku. Była pewna w tej chwili, iż nie budzi wcale wstrętu w panu Franciszku, mimoto, że jest tak silną brunetką... przeciwnie...

— Otóż i kawa gotowa — ozwała się pani Eugenia z dumą — a spodziewam się, że będzie smakowała panu Franciszkowi!

— To jest, będzie godna pani Eugenii!

Franciszek usiadł przy stole, na którym Ludwika postawiła tackę. Helena podała mu filiżankę. Franciszek się skłonił i sięgnął ręką do kieszeni po papierośnicę.

— Pani Eugenio, proszę. Każda praca zasługuje na nagrodę. Oto doskonałe papierosy.

— Dziękuję, panie Franciszku. Nie chcę wrócić do nałogu, któregom się pozbyła.

— Co?... A podatek?.. Już pani zniosła ten podatek? I Olivieri nie protestował przeciwko temu zniesieniu?

— Pan Olivieri pali teraz tylko cygara wirginia.

Helena miała dobre serce i lubiła Olivieri'ego; w tej chwili jednak wybuchła śmiechem nielitościwie wzruszywszy ramionami: wirginie były bowiem oznaką dekadencyi biednego adwokata.

— Nie częstuje mnie już papierosami, bo ja nie chcę! — dodała pani Eugenia, gotowa zawsze bronić pokrzywdzonych. Przestałam zaś palić, nie chcąc Helenie dać złego przykładu.

— Mamusiu, mateczko! ja dziś spróbuję!...

— A to na co?

I Ludwika również się oburzyła:

— Palić?... dla panienki!

— Tak, tak, tak! Mateczko! — prosiła Helena, całując świeże policzki pani Eugenii z przymileniem. — Pozwól mi raz spróbować!

— Przenigdy!... Siedź cicho! Dosyć tego, nie męcz mnie! Nie pozwalam w żaden sposób!

Helena zwróciła się do Roera.

— To mi pan da papierosa! Proszę o jednego papierosa!

Chwyciła Franciszka za ramię, chcąc dostać rękę w której trzymał wysoko nad głową papierośnicę.

— Proszę pana! proszę pana!

Podniosła się na palcach, podskoczyła, napróżno; nie zdołała wyrwać papierośnicy i uniosła się gniewem.

— Niedobry!

— Heleno! — zawołała pani Eugenia surowo.

Frranciszek upuścił rękę i wstawił się za Heleną.

— Możeby pozwolić.... tylko na ten jeden raz?

Pani Eugenia pozostała niewzruszona, tak samo i Ludwika, obydwie wszakże z zachwytem spoglądały na Lulu, na tę kapryśną Lulu.

— Jaka ona przebiegła! — pomyślały obie w duchu. — Musi zawsze dostać to, czego zechce!

Helena wzięła papierosa, a Franciszek podał jej zapałkę.

— Żeby jej choć nie zaszkodziło! — mruknęła Ludwika.

— Czy są przynajmniej lekkie?

— Bardzo lekkie.

Helena ściągnęła usta, by utrzymać papierosa, wydęła wargi puszczając dym. Robiła przytem najpocieszniejsze miny; mimo to dym cisnął się jej do óczu, do nosa i do gardła. W końcu widząc, że nie da rady, zwróciła się do Franciszka o pomoc.

— Jakże to się robi?

Franciszek żartował, bawił się i droczył się z nią.

— Tyle już lat upłynęło, a ty pozostałaś.... dawną Lulu!

— Wiem o tem.

— Jesteś taka maleńka!

— Wiem.

— Taka czarna!

— Wiem.

— Brzydka!...

— To nieprawda!

(Ciąg dalszy nastąpi).

siącem we Lwowie wstępna konferencya, na której postanowiono poruczyć prezydyum miasta Krakowa zwołanie drugiej konferencyi z wybranych wówczas reprezentantów ciał autonomicznych, dyrekcyi kolejowych i korporacyj. Druga ta konferencya, która odbyła się dzisiaj w Krakowie, miała mieć właściwie charakter konstytującego zgromadzenia nowego towarzystwa krajowego, któreby ujęło całą tę akcyę w rękę, a z konieczności stała się ankietą, która ostatecznie rzecz całą oświetliła i wypracowała ścisłe dyrektywy dla tych, którym powierzono opracowanie statutów mającej powstać organizacyi. Myśl utworzenia organizacyi krajowej ku popieraniu turystyki — jak wspomniano — podniósł na konferencyi lwowskiej pan Wierzbicki. Olbrzymią potrzebę i pożyteczność takiej organizacyi uznaje każdy; lecz sama sprawa turystyki jest u nas dość jeszcze niepopularną, to też nie wszyscy zaproszeni na ową konferencyę lwowską się zgłosili i zostali następnie zaskoczeni jej uchwałami. Tak np. stało się z reprezentacyą miasta Lwowa, która tą rzeczą się zajęła dopiero na wtorkowem posiedzeniu Rady miasta, jako zupełnie nową i wówczas dopiero spostrzegła się, że na owej konferencyi przesądzono już sprawę dla Lwowa bardzo ważną, a mianowicie umieszczenie centralnej siedziby nowej organizacyi w Krakowie. We wtorek dla obrony interesów miasta Rada uchwaliła wysłać delegata swego na krakowską konferencyę.

Konferencyę dzisiejszą, zwołaną na godz. 5 po poł. do sali obrad krakowskiego magistratu, otworzył prezydent dr. Leo. Obecni wszyscy delegaci, których wybrano we Lwowie, a więc: delegat miasta Krakowa dr. Ciechanowski, delegat miasta Lwowa dr. Lisiewicz, delegaci trzech galicyjskich dyrekcyj kolejowych inspektorowie dr. Wróbel z Krakowa, p. Makusz ze Lwowa i p. Luks ze Stanisławowa, prezes Tatrzańskiego Towarzystwa profesor Ponikło, prezes Towarzystwa miłośników pamiątek Krakowa notaryusz Muczkowski, bar. dr. Battaglia ze Lwowa, adw. dr. Krygowski z Krakowa, właściciel miejskiego biura kolejowego p. Stanisław Sokołowski ze Lwowa, następnie delegat Czarnohorskiego Towarzystwa turystycznego i p. Chronowski z Krakowa. Z prasy mimo zaproszenia na konferencyę wszystkich redakcyj, był obecny tylko członek redakcyi *Przeglądu* ze Lwowa.

Prezydent p. Leo wskazuje na to, co dla turystyki zrobiono już zagranicą. U nas inicyatywa wyszła od pana Wierzbickiego, który uczynił to po porozumieniu się z rządem. Jest więc gwarancya, że sprawą tą zajmie się rząd i poprze ją. Ponieważ konferencyi przedłożono projekt statutu nowego Towarzystwa, przeto przewodniczący chce otworzyć szczegółową dyskusyę nad tym projektem, lecz na żądanie prof. Ponikły otwiera wprzód dyskusyę ogólną.

P. Makusz przedstawia, że w przedłożonym projekcie statutu wypaczono myśl lwowskiej konferencyi, chodziło bowiem nie o założenie krajowego Towarzystwa turystycznego, lecz o założenie *związku*, którýby skupił i zjednoczył w sobie już istniejące Towarzystwa i interesowane w turystyce korporacye. Przedłożony statut jest biurokratycznym, pozbawia miejscowe organizacye autonomii, a ma ramy tak ciasne, że istniejące już Towarzystwa w kraju wcisnąć się w nie nie dadzą.

Prez. p. Leo stwierdza pewne nieporozumienie, jakie zaszło. Sądzić bowiem wypadało, że przedłożony projekt statutu jest wypracowanym po myśli dyrektyw danych na lwowskiej konferencyi.

Prof. Ponikło popiera uwagi p. Makusza. Wykazuje, że przedłożony statut nie odpowiada naszym stosunkom. „Towarzystwo" nie pomocą, ale przeszkodą będzie dla turystyki; zadanie spełnić może tylko „Związek" *(Verband)*. Taką uchwałę powziął już wydział Tow. tatrzańskiego.

Delegat Czarnohorskiego Tow. wskazuje na centralistyczność w projektowanem Towarzystwie i na to, że pominięto zupełnie uchwalone we Lwowie założenie oddziałów lwowskiego i stanisławowskiego.

Jeden z autorów statutu dr. Wróbel odpowiada, że projekt jest tylko substratem do obrad i nikogo nie zobowiązuje.

Dr. Lisiewicz przemawia imieniem Rady miasta Lwowa, której zaproszenie nadesłano zbyt późno i która dlatego rzeczą całą została zaskoczoną. Jako delegat, ma mówca jedną tylko dyrektywę: oponować przeciw projektowanemu załatwieniu sprawy. Myśl odpowiednią podali już mówcy poprzedni, tj. myśl założenia związku, a nie towarzystwa. Towarzystwo bowiem zniszczy lokalną autonomię, a bez chętnej pracy bezpośrednio interesowanych osób rzecz będzie biurokracyą tylko. Wogóle np. zarządy kolejowe dotąd ogromnie biurokratycznie traktowały naszą turystykę. Pierwszy pan Wierzbicki pokierować rzecz umiał na właściwe tory. To też nie wypaczajmy jego zdrowej i dobrej myśli. Jasnem jest, że zadaniu odpowiedzieć nie może towarzystwo ogólne, złożone z członków, żadnymi bezpośrednimi interesami z rzeczą niezłączonych. Stworzyć należy związek, złożony oprócz z gmin i interesowanych władz rządowych i krajowych także, a nawet przedewszystkiem z korporacyj takich, jak związek hotelarzy, który dopiero stworzyć należy, i z lokalnych towarzystw turystycznych, które również stwarzać należy. Towarzystwo takie we Lwowie już powstało z inicyatywy prywatnej. Zaś punkt ciężkości tej organizacyi winien spoczywać nie w Krakowie, lecz we Lwowie. W chwili obecnej wprawdzie Kraków, Wieliczka i Zakopane absorbują w najznaczniejszej części ruch obcych w Galicyi, lecz myśleć należy o przyszłości. Zresztą Lwów jest stolicą i siedzibą centralnych władz krajowych. Kraków jest na skraju Galicyi. Tędy ruch obcych, ściągany jedynie do Krakowa, niejako ocierałby się tylko o Galicyę. W przyszłości, po wybudowaniu kolei Tomaszowskiej, Lwów stanie się węzłem ruchu turystów. Wschodnia Galicya z powodu swego Podkarpacia, Jaremcza, Dory, Worochty, Kossowa, kolei Samborgranica węgierska ma warunki przyszłości. Kraków i Zakopane szczęśliwym dotąd zbiegiem stosunków wyczerpały już niemal wszystko to, co wogóle mogą zrobić. Ze skierowania ruchu obcych na Kraków zyski wyciągnie tylko kolej Północna, ani kraj, ani miasta galicyjskie nic z tego mieć nie będą. Tędy na skierowaniu ruchu do Lwowa polega interes kraju. We Lwowie powstało już towarzystwo lokalne. Takich towarzystw należy stworzyć jak najwięcej. Mówca kończy wnioskiem o uchwalenie zasady „związku turystycznego".

P. Battaglia broni projektu statutu i powiada, że za związkiem przemawia chęć pewnej partykularnej konkurencyi.

Prof. Ponikło odpowiada, że właśnie tylko przez wytworzenie takiej konkurencyi da się coś zdziałać. Do ciężkiej bowiem pracy pobudzić mogą tylko interesy bezpośrednie, a więc lokalne. Tu mówca wylicza, co zdziałało Tow. tatrzańskie. A więc jego zasługą jest spór o Morskie Oko, do którego Tow. dostarczyło najważniejszych materyałów, droga do Zakopanego, kolosalnym sumptem zrobiona dokładna mapa Tatr z wzorową nomenklaturą i w. i. rzeczy. Tyle zdziałać można tylko pod bodźcem bezpośrednich interesów. O konkurencyi mowy tu nie ma. Mówca popiera wniosek dra Lisiewicza.

P. Muczkowski jest także za związkiem, gdyż Towarzystwo złożone z prywatnych osób nie utrzyma się z powodu braku u nas zmysłu do asocyacyi. Przemawia przeciw siedzibie związku we Lwowie.

Dr. Wróbel prosi, by uchwalić statut w jakiejkolwiek formie, bo lepiej zrobić coś, niż nic.

P. Makusz podnosi, że zakres projektowanej działalności Towarzystwa jest niewykonalny (taryfy dorożkarskie, szkoły kelnerów itp.). Myśl członków „z urzędu" jest również niefortunną i biurokratyczną.

Adw. Krygowski wskazuje na to, że przeciw związkowi są tylko dr. Wróbel i pan Battaglia. Zaś projektowany przez nich statut do niczego doprowadzić nie może, bo zakres jego jest niemożliwy i niewykonalny.

Dr. Lisiewicz powiada, że rzecz jest zbyt ważną i doniosłą, a przytem za mało dziś jeszcze popularną, by ją można rozstrzygnąć na poczekaniu. Mówca uważa za konieczne odnieść się do swoich mocodawców o decyzyę. O szczegółach dyskutować nie można, jeśli zasadniczo są dyametralne różnice.

Dr. Battaglia powiada, że tu inicyatywę podjąć należy dla społeczeństwa, lecz bez społeczeństwa, czyli narzucić mu pewną gotową już rzecz. Tędy odnosić się do mocodawców nie ma potrzeby.

Dr. Lisiewicz oświadcza, iż mandat jego jest taki, że zgodzić się może jedynie na Związek i to z siedzibą we Lwowie. Prof. Ponikło oświadcza, że bez przejrzenia rzeczy przez wydział Towarzystwa Tatrzańskiego na nic zgodzić się nie może. Grozi wobec tego rozbicie akcyi. Pan Sokołowski stawia wniosek o odłożenie decyzyi, aby tylko akcyi w zawiązku nie rozbijać.

Zaczyna się długa i żmudna dyskusya formalna.

Wreszcie późnym bardzo wieczorem zapadły następujące uchwały:

1. Przyjęto zasadę Z w i ą z k u.

2. Wybrano komisyę z 6 osób, a mianowicie: dra Krygowskiego, p. Muczkowskiego, dra Lisiewicza, bar. Battaglii, dra Wróbla i p. Chronowskiego, którzy jutro jeszcze opracują nowy statut na nowych oparty zasadach i roześlą go członkom konferencyi.

3. Prezydent p. Leo zwoła w połowie września konferencyę, która statut ten rozpatrzy i uchwali.

Na tem po prawie pięciogodzinnych obradach konferencyę zamknięto.

## Z listów żołnierskich z wojny.

### V List.

*Ueń-czeń-pu 23/XII 1904.*

Godzina 10 wieczorem, większość moich szlafkamratów śpi; przytomność reszty objawia się w urywkowych wyrazach i zdaniach: „czto kozyr?", „dziesiatka", „prowalilsia" i t. p. dolatujących co chwila do mego ucha. Rebiata gra zawzięcie w „zechcyka", „tiomnuju" albo „banczok"; niewiele mając, mało ryzykują. Mieszkanie nasze, to piwnica kilkanaście łokci długa, a 6—7 szeroka, tak niska, że chodząc, trzeba głowę razem z kolanami trzymać. Z dwóch stron są zostawione łokciowe wzniesienia z ziemi, niewystarczające jednak na wyciągnięcie się w czasie snu. Ściany pokryte pleśnią, światła dostarcza okienko z szybką, wyjęte z latarni chińskiej, jak na urągowisko szyba jest upiększona ładnem malowidłem: nad wodą skały, las, kilka fanz, świątynia; zapewne latarnia wisiała kiedyś u jakiego mandaryna, teraz przesącza światło dzienne do nory wilgotnej i ponurej — kontrast.

Wieczorem nasz salon bywa oświetlany najrozmaiciej: tu pali się łój na spodku z chińskiej porcelany, tam świeczka stearynowa, wyhandlowana za odłamki japońskiego granatu od jakiegoś konduktora kolejowego, jeden w butelkę z naftą przez dziurkę w korku zapuścił sznurek, inny z blaszanki od konserw lampę sobie zrobił. Ja przywiozłem sobie z Mukdenu glinianą chińską lampkę i delektując się jej światłem, piszę list niniejszy. Naftę kupuje się w Mukdenie, ale z drzewem na opał gorzej. Ze wsi zostały tylko nazwy, domy dawno rozebrane na opał. Drzew coraz mniej; pomimo, że zniszczenie ich bardzo surowo wzbronione, idzie się w nocy w kilku z piłą i siekierami, ścina się drzewo, rznie na klocki i w pół godziny niewiadomo, gdzie się drzewo podziało. A i umarli Chińczycy mają też za swoje, trumny, jak to już poprzednio pisałem, mają masywne, po wysuszeniu bardzo dobrze się palą, wyrzuca się więc w potrzebie nieboszczyka na pastwę zgłodniałym psom, a trumna idzie na opał. Wstręt i zgroza człowieka przejmuje, a chyba tylko potrzeba w twardych warunkach wojny tłómaczy niejedno. Co do mnie, nie wierzyłbym nigdy, że się podobne rzeczy dziać mogą.

Przed kilku dniami byłem w Mukdenie. Co tam za ruch, co za różnorodność typów! Francuzki oficer zamięszał się między chińską kawaleryę, jakiś amerykański korespondent w wielkim kapeluszu stara się wybrnąć z gromady harb, osłów, rosyjskich wojennych wózków; tu idzie generał, tam chiński żebrak siedzi na 20-stopniowym mrozie bez koszuli, zbiera od przechodniów „creny" i nakłada je na druciki; pod oknem jakiegoś manzy muzykalne trio chińskie: jeden gra na instrumencie smyczkowym, podobnym do tych, jakie się czasem u Serbów czy Bułgarów widuje, drugi śpiewa przeraźliwym falsetem, trzeci basuje na instrumencie podobnym do gitary. Na placyku stoi Chińczyk z kilkorgiem dzieciaków komedyantów i wali przeraźliwie w gong chcąc zwrócić uwagę przechodniów. U bram miasta stoi warta złożona z chińskich i rosyjskich żołnierzy, pierwsi z długiemi pikami. Zjechała się tutaj cała falanga kruków: Niemców, Karaimów, Greków, Czerkiesów. Pozakładali na przedmieściu restauracye, handle, handelki i t. p. i sprzedają wszystko na wagę złota; to też kilka tygodni wystarczy takiemu krukowi do zrobienia majątku. Na placach stoją Chińczycy z panoramami, niegrzeszącemi skromnością, zapraszają przechodniów z kiepska po rosyjsku, ogłaszając tytuły widoków. Parę dni temu fotografowałem się tutaj i niebawem wyślę fotografię.

Wspominałem o zdziczałych psach, warto o nich więcej napisać. Otóż te psy zgłodniałe, wychudłe, włóczą się całemi setkami po polach i biada człowiekowi, którego spotkają. Napadają jak wilki, nie pomaga ani bagnet, ani strzelanie, jeden padnie zabity, tem zajadlej sto innych się rzuca. Bywają wypadki kompletnego rozszarpania żołnierzy. Psy te pożerają rannych i zabitych, leżących w niedostępnych miejscach.

25/XII. Przed paru dniami otrzymałem list kochanych rodziców z 13 listopada. Nasienie gaolanu panu W. wysyłam jednocześnie z tym listem. Wysyłam także Mamusi w oddzielnej kopercie kilkanaście oryginalnych chińskich kopert z papierem. Pyta Mamusia, co ja palę? W Mukdenie sprzedają bardzo dobry tytoń po 20—30 kop. funt, gdy go zaś dostać nie mogę, palę coś w rodzaju machorki. Co do uczenia się po chińsku, to widzę, że nic z tego nie będzie, bo to istna łamigłówka, trzeba się na to albo urodzić Chińczykiem, albo wyłącznie dłuższy czas tej nauce poświęcić. Rozmawiać można się nauczyć dość prędko, ale co do czytania i pisania, to się nie podejmuję. Zdobyłem chińsko rosyjski elementarz wraz ze słowniczkiem, drukowany w Szanghaju. Z niego widzę, że w Mandżuryi panuje zupełnie odmienne narzecze i mało wyrazów zgadza się z elementarzem.

Może Mamusia będzie łaskawa przysłać mi bielizny, bo moja na wyczerpaniu; za posyłki płaci się około 15 kop. od funta, bardzo wielu je tu otrzymuje. Proszę też o kilkanaście stalówek, ze dwa ołówki atramentowe i kalendarzyk. Listy bez względu na grubość dochodzą. Choć jestem tak bardzo daleko, ale duszą i sercem zawsze z kochanymi rodzicami.

### VI. List.

*Ueń czeń-pu, 25 stycznia 1905.*

Zima, można powiedzieć, śliczna; śniegu niema wcale, dni słoneczne, nocami niewielkie przymrozki, wiatry przeważnie południowe, czasami tylko kierunek wiatru raptownie się zmieni, ale nie na długo. Teraz np. od dwóch dni wieje silny i mroźny wiatr północny, ale że znamy się już na niestałości tego wiatru, więc nas nie przestrasza. Parę dni można wytrzymać. Żywią nas obecnie bardzo dobrze, przeważnie ryżem, mięso bardzo dobre, czasem dają wieprzowinę; chleb wydają dobry i w dostatecznej ilości. Spanie za to jest niewygodne: nie można się wyprostować, a leżeć co noc w pozycyi skulonej to strasznie męczy. Przytem słomy nigdzie dostać nie można, więc sypiamy na gołej ziemi, albo prawie na gołej. W naszych norach, jeżeli wiatru niema, jest dosyć ciepło. Nakrywam się szynelem albo kożuchem. Zmiana bielizny to rzecz bardzo względna; czasami zmienia się co tydzień, czasami po miesiącu. Zależy to od obecności mydła, wody, drzewa, ciepła itp. Dotąd sam prałem bieliznę coś ze dwa razy; jeżeli długo ją noszę, to wprost palę, aby tylko nie prać. Jeden z moich kolegów czasem pierze mi bieliznę, ja mu za to piszę listy, daję papier lub paczkę machorki. Co do tytoniu, to obecnie palę rozmaite gatunki; czasem bardzo dobry rosyjski, to znowu chiński zielony albo żółty, ale nigdy bez tytoniu nie jestem. Co do pieniędzy, to właściwie sam nie wiem, skąd się one u mnie biorą. Dużo nigdy nie mam, ale i bez grosza nigdy nie jestem. Pensyi rządowej dostaję 27 kop. na miesiąc. Z braku stałego zajęcia często się nudzę.

Pocieszamy się jak możemy z Wil., Węg. i Szt. Święta spędziliśmy razem i prawdziwie po europejsku, a nawet wszechświatowemu. Piliśmy oryginalny koniak francuski, niemiecki kimel, angielski peperment, holenderskie kakao: jedliśmy japońskie i angielskie biszkopty, szwajcarską czekoladę, rosyjską kiełbasę, biały chleb mukdeński i nasz opłatek polski, przysłany przez kochanych rodziców. Jedne z wyszczególnionych przysmaków otrzymali w posyłkach moi towarzysze, inne kupowaliśmy wspólnie w Mukdenie. Trzeba dodać, że wszelkie zagraniczne towary są tutaj dużo tańsze niż w Warszawie. S. nareszcie doczekał się, jest raniony odłamkiem szrapnelu w siedzenie, obecnie leży w szpitalu. Bardzo wielu z moich znajomych pojechało z lazaretu do domów, jedni na rok lub pół, inni zupełnie. Ja też mogłem to samo zrobić, ale przegapiłem znakomitą sposobność, miałem zapalenie ucha, czekałem, aż mi się pogorszy, a tymczasem w dwa tygodnie przeszło zupełnie. W ostatnim liście zapomniałem donieść, że z powodzeniem skrajałem i uszyłem sobie kalesony, z których jestem ogromnie kontent.

A teraz trochę o japończykach. Nad rzeką Szache wojska rosyjskie stoją od japońskich na szerokość rzeki. Gdy żołnierze wychodzą z okopów po wodę, strzelanina z obu stron ustaje, a nabierając wodę, mają wrogowie sposobność wzajemnie z sobą porozmawiać. Zazwyczaj dogadują sobie i wymyślają. Japończycy wołają w naszą stronę: „Oborwańcy iditie knam czaj pit". „Oborwaniec pridi knam, dadim tiebie nowyje sztany", „Oborwańcy, kogda za Bajkał udieriotie?" Nie pozostają w tyle i nasi. Japończycy stale mianują nas oberwańcami, bo i rzeczywiście dobrocią i praktycznością umundurowania bardzo nas przewyższają. D. 1 stycznia n. st. japończycy przysłali nam powinszowanie (list był przyczepiony do latawca, który opadł na nasze okopy). „Waleczni żołnierze rosyjscy! W dniu wielkiego święta waszej ojczyzny (zbliżały się święta Boż. Nar. st. st) przyjmijcie nasze japońskie życzenia. Życzenia te wraz z nami przesyła wam i generał Stössel, znajdujący się od dzisiejszego dnia w naszych rękach". Była to pierwsza wiadomość o upadku Portu Artura. Opowiadał mi jeden z rannych, który powrócił ze szpitala, o stosunkach japońsko-rosyjskich w szpitalu. Wielu japończyków mówi doskonale po rosyjsku. Zwykle wieczorem zdrowsi chorzy śpiewają modlitwę.

Zgadali się też kiedyś o Siotrach Miłosierdzia. Japończyk wygłosił takie zdanie: „U was Siotry Miłosierdzia chodzą w bardzo białych fartuszkach i jedzą czekoladki. U nas inaczej; śnieżnych fartuszków nie mają, czekoladek nie jadają, ale za to znajdują się prawie w pierwszych liniach, obszywają nas i piorą nam bieliznę. Spojrzyjcie na nas, na każdym czysta bielizna i brak wszy — to Sióstr naszych zasługa". Co on tam o swych Siostrach Miłosierdzia opowiadał, czy prawda, nie wiem. Ale istotnie, jaką oni mają piękną bieliznę, a i całe umundurowanie z pięknego sukna, mocno uszyte i praktyczne. Czego naszej armii brak, to ducha dobrego; jestem tu dawno, więc widzę dobrze — brakuje zapału do walki. Zbiera się tu u nas na burzę i to bardzo wielką, bodaj nie było takiej jeszcze w tej wojnie; w chwili gdy kochani rodzice czytać ten list będą, już pewno z gazet będzie wiadomy rezultat. Cała siła bojowa jest teraz na pierwszej linii, czego dawno już nie było.

## Co i o czem piszą.

Dzienniki warszawskie pełne są obszernych sprawozdań z pobytu polskiej trupy teatralnej w Wilnie. Przyjęcie, jakie Litwini zgotowali tej trupie, było tak owacyjnem, że ktoś, kto nie zajrzy głęboko w tajniki duszy ludzkiej, musiałby to uznać za jakiś objaw nienaturalnej przesady, za coś nawet chorobliwego. Ten jednak kto uprzytomni sobie te straszne prześladowania, jakie wykonywał nikczemny rząd rosyjski na Litwie przez lat czterdzieści kilka, to prawdziwe pastwienie się tego czynownictwa zezwierzęconego nad ludnością polską w tym kraju, ten dopiero zrozumie i wytłómaczy zagadkę, dlaczego całe społeczeństwo litewskie witało z takim entuzyazmem zwykłą trupę aktorską, wyniesioną w danym razie do godności reprezentantów żywego słowa polskiego.

Z mnóstwa relacyj przytoczymy jedną tylko, może najlepszą, pochodzącą z pod pióra p. Ignacego Kosobudzkiego, a zamieszczoną w *Gazecie Polskiej*. W niej bowiem najwięcej tego entuzyazmu, jaki ogarnął wszystkie warstwy społeczeństwa polskiego na Litwie. Autor pisze:

Cudne jest Wilno.... Rzucone w dolinę, obramowaną z trzech stron górami, omywane bystremi wodami Wilejki i jej macierzy Wilii, tuli pod swemi prastaremi skrzydły tyle pamiątek dziejowych, tyle wspomnień historycznych, że gdyby te cienie dziś ożyły, nie byłoby miejsca dla żywych.... Kto zna Wilno temu nie opowiadać o jego pięknościach, kto go nie zna — temu piórem nie opowiedzieć....

Ale, jeśli samo Wilno jest cudne, to cóż dopiero mówić o jego okolicach! Takie np. Troki, Landwarów, Werki, Waka — toż to zakątki raju, rzucone na ziemię. I doprawdy, oglądając to wszystko na własne oczy, gubiąc wzrok w coraz piękniejszych krajobrazach, zamykając w duszy coraz czarowniejsze wrażenia, godzisz się ze słowami poety i szepczesz z żalem:

„Cudze chwalicie, swego nie znacie,
„Sami nie wiecie, co posiadacie....

Tak, nie wiecie sami, jakie skarby rozrzuciła u nas hojną dłonią matka natura, nie wiecie sami, że skarby te dostępne są do oglądania każdemu, kto miłuje swój kraj prawdziwie, pragnie go poznać i, jako z rzeczą umiłowaną — nie rozstawać się z nią nigdy.

Ale — mów wilkowi pacierz, a on woli kozią macierz — jak twierdzi pan Jowialski, i jeszcze wiele wody upłynie, zanim nasi „miłośnicy" pięknych krajobrazów, przestaną „ku zachodniej patrząc stronie", zachwycać się wszystkiem, co obce, ze szkodą dla tego, co nasze....

Do Landwarowa! Jak już zaznaczyłem w poprzednim liście, program rozrywek w drugim dniu przedstawienia, tj. we czwartek obejmował wycieczkę do tej uroczej siedziby hr. Władysławowstwa Tyszkiewiczów. Mieliśmy wyjechać z Wilna o godz. 1szej w południe, ale pociąg się spóźnił, jak przystało zresztą na szanujący się pociąg kolei petersburskiej.

Peron zapełnia się powoli zaproszonymi gośćmi.

Nareszcie — pociąg. Taką „paczkę" (było nas ze 40 osób), nie łatwo ulokować w jednym wagonie.

Rozsypaliśmy się więc wszędzie, zalegając okna, aby napawać się przepięknemi widokami, zmieniającemi się, jak w kalejdoskopie, wzdłuż plantu przez ciąg całej drogi do Landwarowa, która trwa koleją 20 minut. Na stacyi oczekiwały konie. Cały sznur ekwipaży — dla pań landa i powozy, dla nas — breki i wolanty.

Z Landwarowa słusznie może być dumny jego właściciel i nie dziwna, że przesiaduje w nim chętnie. Natura i sztuka podały tu sobie ręce, tworząc całość pełną uroku i malowniczości. Zamek (bo najwłaściwsza to chyba nazwa), utrzymany w stylu angielskiego gotyku, z wysmukłą wieżycą, odcina się malowniczo od tła wody, która wielkim kręgiem okala naokół tę prawdziwie pańską rezydencyę. Wodę tę sprowadzono kanałem z jeziora Trockiego, odległego od Landwarowa o 6 wiorst. Zabawka kosztowna wprawdzie, ale jakże się przyczynia do podniesienia malowniczości krajobrazu!

Wchodzimy do wnętrza i uderza nas przedewszystkiem rzecz jedna: wielkie zamiłowanie wytwornej harmonii barw i linii. Uwypuklają się one na każdym kroku, dają swój wyraz w każdym drobiazgu, począwszy od wartościowej galeryi obrazów i wspaniałych zbiorów, nagromadzonych w zbrojowni, skończywszy zaś na dziwnie pięknych oddrzwiach, stanowiących arcydzieło smaku i subtelnego artyzmu. Oddrzwia te hr. Władysław Tyszkiewicz sprowadził z Włoch, a były one ozdobą starożytnego pałacu jednego z magnatów tamtejszych.

Po za obszernym i wzorowo utrzymanym gazonem, stanowiącym podjazd, w zieleni drzew czerwienieją dachy budynków gospodarskich. To królestwo rządów samowładnych hr. Władysławowej Tyszkiewiczowej — stajnie. Zamiłowana sportsmenka i wielka miłośniczka koni prowadzi na szeroką skalę hodowlę „karosierów".

Dobrze tu jest i ludziom i koniom. Te ostatnie są wprost rozpieszczone przez swą panią, na której widok rżą radośnie, wyciągając przez ogrodzenia swe kształtne łby po cukier i pieszczoty.

Po obejrzeniu parku i oddaniu hołdu należnego jego piękności, wróciliśmy do zamku na śniadanie. Zasiadło do niego około 50 osób.

Nastrój był serdeczny. Pierwszy, podniosły toast, wygłosił gospodarz, hr. Władysław Tyszkiewicz na cześć artystów warszawskich, dziękując im za trudy poniesione. Mówili jeszcze pp.: H. Radziszewski (dwukrotnie, a za każdym razem pięknie), Władysław Rabski, Frenkel, Rapacki, adw. Wróblewski, koroną wszakże przemówień była mowa, wygłoszona przez p. Aleksandra Lednickiego, adwokata z Moskwy. Znakomity mówca, gorący patryota polski, obejmujący myślą rozległe horyzonty polityczno-społeczne, jędrnem i jasnem przemówieniem swojem wywarł głębokie wrażenie na słuchaczach, którzy mu podziękowali długotrwałym oklaskiem.

Po śniadaniu i po krótkiej stosunkowo gawędce trzeba było ruszać z powrotem do Wilna na przedstawienie. Artyści, biorący w niem udział, odjechali pociągiem wcześniejszym, reszta zaś goście później, ażeby tylko zdążyć na pierwsze podniesienie kurtyny. Program zapowiadał „Pana Jowialskiego" Fredry i „Marcowego kawalera" Blizińskiego.

Teatr był znów pełen. I znów były kwiaty i wywoływania bez końca.

Trzeci dzień — punkt kulminacyjny widowisk — „Mazepa" Słowackiego z Leszczyńskim w roli wojewody i Rapackim w roli króla Jana Kazimierza. Niestety, tylko 3 i 4 akt grać było można; reszta wzbroniona. Dopiero, dzięki staraniom hr. Władysława Tyszkiewicza i samego Leszczyńskiego, który osobiście był w tej sprawie u gubernatora wileńskiego, hr. Pahlena, udało się wytargować część wspaniałej tragedyi. Jako odszkodowanie za obcięcie „Mazepy" dodano... „Bzy kwitną" Przybylskiego.

W południe tego dnia znów wycieczka do Zatrocza, rezydencyi hr. Józefostwa Tyszkiewiczów. Jedzie się tak samo koleją do Landwarowa, a potem 10 wiorst końmi.

Pociąg, wedle zwyczaju, spóźnił się blisko o godzinę, co znacznie nam skróciło i tak już skąpo wyliczone godziny pobytu w Zatroczu, ale rączość koni nadrobiła trochę czasu, tak, że zanim zdążyliśmy się obejrzeć, czwórka stanęła przed promem, na brzegu Trockiego jeziora

Tu składam pióro, nie czuję się bowiem zdolnym do odmalowania krajobrazu, jaki się roztoczył przed naszymi oczyma. Jezioro Trockie! Ile legend przyrosło do jego wód ciemnych, a tak kryształicznie czystych, ile baśni czarodziejskich wysnuły jego tonie niezgłębione, ile wspomnień dziejowych związane jest z jego brzegami! Jezioro Trockie! Czy można sobie wyobrazić coś bardziej pięknego i poetycznego, coś przemawiającego silniej do duszy językiem wieków minionych?

I staliśmy tak długą chwilę, zaczarowani temi wizyami przeszłości, nie mogąc oczów oderwać od ruin zamku Trockiego, rysujących się na brzegu przeciwległym. I zapomnieliśmy w tej chwili o wszystkiem, tonąc w jakiemś marzeniu nieuchwytnem, w jakiemś odrętwieniu na poły rozkosznem, na poły smutnem...

Krótko bawiliśmy w uroczej siedzibie hr. Józefostwa Tyszkiewiczów. Zaledwie mieliśmy czas ogarnąć wzrokiem nie dającą się opisać panoramę, roztaczającą się z wyniosłego tarasu pałacowego na jezioro i jego brzegi lesiste, zaledwie zdążyliśmy rozejrzeć się pobieżnie w zbiorach, nagromadzonych umiejętną ręką wewnątrz pałacu, utrzymanego ściśle w stylu Ludwika XVI, zaledwie ochłonęliśmy z wrażenia przed piękną „Główką" Greze'a, — już trzeba było siadać do obiadu, wkrótce zaś po nim wracać do Wilna na przedstawienie.

Jakie wrażenie wywarł „Mazepa" na publiczności, nie byłem tego bezpośrednim świadkiem, naglony bowiem pilnemi sprawami, wprost z wagonu przesiadłem się do pociągu, odchodzącego do Warszawy, wiem tylko z relacyi telegraficznych, że entuzyazm był niebywały, że artystów zasypano kwiatami, po wyjściu zaś z teatru noszono na rękach...

Wieczór zapadał, kiedym przejeżdżał z powrotem szlakiem dopiero co przebytym. Czerwonozłote promienie zachodzącego słońca kładły się cicho na zielonej pościeli traw, na wierzchołkach wyniosłych lasów, odbijały się krwawo w bardziej przeczuwanych, niż widzianych falach jeziora Trockiego. I, choć pobyt mój na Litwie był tak krótki, było mi jakoś smutno odjeżdżać z tych stron, od tych widoków wspaniałych, od tych ludzi, głęboko czujących, a jak każda głębia — mrocznych i, choć Litwa nie jest ojczyzną moją, szeptałem mimowoli:

„Litwo — ty jesteś jak zdrowie!..."

# KRONIKA.

Lwów 13 lipca.

**Mianowanie.** Cesarz zamianował profesora uniwersytetu czerniowieckiego dra Alfreda Halbana profesorem prawa porównawczego na uniwersytecie we Lwowie.

**Podejrzenie, rzucone na posła polskiego.** Dyrektor kartelu żelaznego niejaki Kestranek, broniąc owego kartelu w artykule, zamieszczonym w pierwszy dzień Zielonych Świąt w ekonomicznej części *Fremdenblattu*, napisał tam między innemi, że przeciwnicy kartelu występują przeciwko niemu publicznie, a poufnie chętnie z niego korzystają, i tak np. pewien członek Koła polskiego, lubo całe Koło występuje przeciw kartelowi, żądał od niego pewnych ustępstw w cenie gwoździ żelaznych dla jego fabryki drutu, a gdy on odmówił, zagroził, że Koło polskie da mu się we znaki. Artykuł ten przeszedł niepostrzeżenie, nikt z członków Koła polskiego go nie czytał, nikt także w redakcyach naszych dzienników, tak, że w politycznych sferach polskich nie wiedziano nawet, że taki paszkwil pojawił się na jednego z członków Koła polskiego. Dopiero na ostatniem posiedzeniu Izby poselskiej antysemita Schröpfl zarzucił Kołu, że wcale na ten paszkwil nie reagowało. Wtedy natychmiast prezes Dzieduszycki wysłał do Kestranka depeszę z żądaniem wymienienia nazwiska tego posła, który ma fabrykę drutu żelaznego i żądał ustępstw w cenie gwoździ żelaznych. Sekretarz Kestranka odtelegrafował prezesowi Koła polskiego, że p. Kestranek wyjechał do wód. Co się dalej stało, nie wiemy. Zapewne p. prezes Dzieduszycki zażądał od owego sekretarza nowego adresu p. Kestranka. W każdym razie nie przypuszczamy, żeby sprawy tej zaniedbał. Nie przypuszczamy także, żeby otrzymawszy od p. Kestranka nazwisko owego posła, chował je w tajemnicy do czasu, kiedy w jesieni zbierze się Koło polskie, boć przecie niepodobna zostawać pod zarzutem, że w Kole polskiem znalazł się znowu jakiś Walewski.

Nasuwa się tu jednak refleksya ta, że żaden poseł polski nie ma fabryki drutu. Zdawałoby się więc z tego, że zarzut Kestranka jest z palca wyssany. Tymczasem wiedeński korespondent *Głosu Narodu* wskazuje prawie palcem na p. Rappaporta. Pisze bowiem, co następuje:

„Niestety, w sferach poselskich przeważa zdanie, że pan Kestranek ma słuszność. Wymieniano głośno nazwisko kolegi, cichego wspólnika w pewnej fabryce drutu w Galicyi. Owo nazwisko już przed laty wymieniano w innej bardzo brzydkiej sprawie giełdowej, gdy skutkiem niedyskrecyj, związanej z posłuchaniem u Cesarza prezesa Jaworskiego, powstał na giełdzie popłoch. Niedyskrecyj miał się dopuścić ów poseł, który czekał pod bramą Burgu na prezesa Koła i usłyszawszy pewne szczegóły o położeniu międzynarodowem, w jednej chwili zorganizował „sznit" giełdowy.

„Zarobił miliony, które potracili inni.

„Wtedy umiał ujść kary. Koło przecież po dzień dzisiejszy cierpi z jego powodu pod zarzutem, iż jest kliką spekulantów giełdowych. Jeżeli znowu jest winien nowego łajdactwa, źle byłoby, stanowczo byłoby źle, gdyby się mu udało ujść bezkarnie".

**Dyrekcya Colosseum** zawiadamia, iż Japończycy zostają i występują jeszcze we czwartek i piątek we Lwowie.

**Ślub.** W Storożyńcu na Bukowinie odbędzie się dnia 18 b. m. ślub panny Ewy Sommerówny z dr. Oskarem Grossem, adwokatem ze Lwowa, synem powszechnie szanowanego lekarza lwowskiego dr. Karola Grossa i Julii z Letników.

**Z naszych uzdrowisk.** Z Hrebenowa piszą nam: Hygiena teraźniejsza stawia trzy warunki dla każdego miejsca kąpielowego, przeznaczonego na pobyt dla rekonwalescentów, ludzi zdenerwowanych życiem miejskiem i pragnących odpoczynku. Żąda ona: dobrego i czystego powietrza, bliskości lasów i kąpieli w rzece. Wszystkie te trzy zalety posiada Hrebenów, a ponieważ nie ma w nim tego ruchu, jak w Zakopanem, gdzie od ciągłej jazdy furek i furmanek powstaje taki kurz, że robi kaszę z powietrza, więc i to liczy mu się za zaletę. Letnisko „Stachowa Wola,“ położone malowniczo tuż nad rzeką w samem sercu doliny, jest otoczone górami, na których jak w smaragdowej oprawie widać piękne lasy. Powietrze więc jest zupełnie czyste, jędrne i balsamiczne. Bliskość lasów i doskonałe drogi ułatwiają dalsze spacery, a świeże powietrze zbawiennie oddziaływa na ludzi chorych i pragnących spokoju, tak idealnie wpływającego na skołatane życiem miejskiem nerwy. Letnisko to założył 10 lat temu ś. p. L. Gliński, zacny przemysłowiec z Warszawy, który, korzystając z wyjątkowo pięknego położenia Hrebenowa, chciał urządzić tu sanatoryum i tym sposobem otworzyć chorym możność leczenia się we własnym kraju bez potrzeby wyjazdu za granicę. Zakupił więc tu kilkanaście morgów gruntu, wybudował piękny gmach z ogromną salą jadalną, urządził teren dla zabawy itd. Niestety, śmierć ś. p. Glińskiego przerwała ziszczenie się jego planów i dalsze przekształcenie letniska na sanatoryum. Wreszcie co do kąpieli, to zaraz tuż przy letnisku urządzone są schody i kąpiel, tak, że każdy może codzień używać orzeźwiającej kąpieli w wartko płynącym Oporze. Samo letnisko posiada jeden główny dom i parę mniejszych domków, gdzie letnicy mogą za umiarkowane ceny mieć pomieszkanie z całem utrzymaniem. Zaś co do strony gastronomicznej, to kucharz doskonały, na takiej stopie prowadzi kuchnię, że chyba i najwybredniejszy smakosz może być zadowolony.

**Teatr polski na kresach.** Dnia 12 b. m. trupa Bolesławskiego odegrała w Humaniu sztukę Rydla „Zaczarowane koło“. Powodzenie było olbrzymie, oklaskom nie było końca.

Tegoż samego dnia dali studenci w Poniewierzu na Żmudzi amatorskie przedstawienie z równie wielkiem powodzeniem. Odegrano Blizińskiego „Pan Damazy“.

**Pożar.** W Bolesławiu, w powiecie dąbrowskim, spaliło się doszczętnie 21 zabudowań. Szkoda wynosi 100.000 K.

**Losowanie posagów.** Wczoraj w południe w ratuszu odbyło się losowanie posagów po 2.100 kor. z fundacyi im. Kaspra Boczkowskiego, zostającej pod zarządem gminy m. Lwowa. — Szczęśliwe losy padły na dwie sieroty po rzemieślnikach: Eleonorę Bilską i Maryę Dymnicką.

**Zamordowany onegdaj w Moskwie** Piotr Szuwałow był synem znanego dyplomaty i generał-gubernatora Warszawy, a szwagrem pierwszego sekretarza ambasady rosyjskiej w Wiedniu p. Dymidowa. Dawniej służył w artyleryjskim pułku gwardyi. Do Moskwy powołano go po zamachu na W. ks. Sergiusza i zamianowano tzw. „gradonaczalnikiem“, czyli naczelnikiem policyi, w odróżnieniu od „głowy miasta“, którym jest ks. Golicyn. Hr. Szuwałow był osobistością na dworze carskim nadzwyczaj lubianą, a u w. ks. Sergiusza, z którym ścisłe łączyły go stosunki, był naczelnikiem dworu.

Bardzo być może, że powód zamachu na niego tkwi jeszcze w jego rządach na stanowisku „gradonaczalnika“ m. Odessy, gdzie w r. 1903 z niesłychaną srogością tłumił rozruchy robotnicze. Po zamordowaniu W. ks. Sergiusza w Moskwie mianowano go szefem policyi w tem mieście. Był on na tem stanowisku wytrwałym reakcyonistą, zaostrzył cenzurę, zakazał odbycia zjazdu w dniu 19 bm., ale nie było słychać o aktach takiej srogości, jakiej dawał dowody swojego czasu w Odessie.

Zamach na Szuwałowa wywołał w petersburskich kołach rządowych i dworskich przygnębiające wrażenie. Car na wieść o nim doznał wstrząśnienia nerwowego i stanowczo zaniechał zamierzonego wyjazdu do Moskwy.

**Wyjazd dzieci do kolonii wakacyjnych.** Komitet kolonii rymanowskiej przypomina, że wyjazd dzieci przyjętych na kolonię nastąpi w poniedziałek 17 lipca z dworca głównego we Lwowie w kierunku Sambor-Chyrów o godzinie 9-tej rano. Dzieci mają się zebrać w poczekalni klasy III o 8½ wedle czasu miejskiego. Karty przyjęcia mają oddać kierownikom, których poznają po odznakach na ramieniu.

**Samobójstwo.** Dziś rano w parku Łyczakowskim powiesił się na drzewie niejaki Michał Balas, 60-letni wyrobnik bez zajęcia.

**Otwarcie wystawy i jarmarku wyrobów krajowych w Zakopanem.** Prace około urządzenia wystawy zakopańskiej mają się ku końcowi. Sale i pokoje Adasiówki zapełniają się już okazami wystawowemi. Nie mogąc ich wszystkich pomieścić w głównym budynku — zwłaszcza, gdy zgłoszenia, jak zwykle, w ostatnich chwilach najsilniej napływają — komitet buduje jeszcze dach na słupach dla pomieszczenia wielkich i ciężkich przedmiotów przemysłu metalowego, keramicznego i drzewnego. Wystawców jest stu kilkudziesięciu — mniej więcej tylu, ilu w zeszłym roku na wielkim jarmarku lwowskim.

Restauracya wystawowa już funkcyonuje. Prócz niej będą trzy bufety, dwa cukierniane, jeden z przekąskami mięsnemi. W toku są roboty około oświetlenia elektrycznego całej wystawy i placu, a nadto znacznej przestrzeni drogi, wiodącej na wystawę, od pomnika Chałubińskiego do Adasiówki (7 lamp łukowych). Roboty te prowadzi znana firma lwowska Sokolnicki i Wiśniewski.

Komisya zabawowa obmyśla plan szeregu festynów, które z pomocą i na rzecz chórów akademickich, akademickich towarzystw „Bratniej pomocy“, oraz z okazyi krajowego zjazdu Ligi pomocy przemysłowej będą urozmaicały pobyt na wystawie.

Otwarcie nastąpi w sobotę (15 b. m.) o godzinie 4½ po południu w obecności licznie zaproszonych reprezentantów władz, instytucyj, stowarzyszeń itd.

Przemawiać będą dr. Chramiec imieniem gminy, oraz urządzającej wystawę „Pomocy przemysłowej“ zakopańskiej, dr. Battaglia, jako dyrektor związku fabrycznego, prezes komitetu wystawowego p. Grzegorz Zgleczewski i p. Galusiński jako dyrektor wystawy.

Orkiestra wystawowa, która przygrywać będzie podczas otwarcia, następnie będzie grała codzień od godziny 4 po południu do 9 wieczorem. Będzie ona wzmocnieniem tych niezwykłych atrakcyi, których dostarcza samo położenie placu wystawowego wśród regli lasów i łąk z widokiem na skaliste szczyty.

W dzień otwarcia wieczorem odbędzie się w restauracyi wystawowej towarzyskie zebranie zaproszonych na otwarcie gości, komitetu wystawowego, tudzież wystawców.

**W sprawie egzaminów wstępnych.** Jedno z pism lwowskich wystąpiło tymi dniami z protestem przeciw składaniu egzaminów wstępnych do szkół średnich, a na poparcie swoich wywodów, że nie mają one racyi bytu, przytoczyło następujący fakt, jaki miał się zdarzyć przy takim egzaminie w gimnazyum kołomyjskiem, w roku 1904. Oto „jakiś jedynak, syn biednej wdowy, Stach, po ukończeniu IV klasy szkoły ludowej z postępem bardzo dobrym, zdawał egzamin wstępny do gimnazyum i jak zasugestyonowany poprzednią odpowiedzią sąsiada swego, koniugującego: kocham, kochasz, kocha, wyrecytował bez namysłu: jecham, jechasz, jecha. Spalił go za to młodziutki suplent.“

Owóż przewodniczący kołomyjskiego Koła Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych, profesor Kazimierz Missona, prostuje to doniesienie. Mianowicie egzaminatorem był nie „młodziutki suplent“, lecz starszy wytrawny profesor; uczniem zaś był żydek, który literalnie nic a nic nie umiał po polsku i który między licznemi niedostatecznemi odpowiedziami, dał rzeczywiście i tę, że czas teraźniejszy od jechać jest: jecham, jechasz, jecha.

Naszem zdaniem egzamina wstępne są koniecznie potrzebne, bo przecież musi być dokonana jakaś próba, czy inteligencya dziecka odpowiada materyałowi naukowemu tej klasy, do której ono pragnie się dostać. Stanowczo jednak powinna być badana tylko inteligencya, nie zaś pamięć. Nie powinno się dziecku rzucać ni stąd ni zowąd pytania, na które i sami profesorowie gimnazyalni innych przedmiotów nie odpowiedzieliby może, gdyby ich nagle zaskoczono.

**Kapliczka na Łyczakowie.** Magistrat uchwalił nie uwzględniać opozycyi konserwatorów i zezwolić na zburzenie istniejącej na Łyczakowie kapliczki Potockiego, a postawienie natomiast nowej w stylu gotyckim.

**Stanisławowski inspektorat przemysłowy** obejmuje 22 politycznych powiatów Galicyi wschodniej, położonych we wschodnio-południowym kącie kraju od granicy bukowińskiej aż do powiatu stryjskiego. W roku 1904 dokonał inspektorat stanisławowski 225 inspekcyi w 203 zakładach przemysłowych, z których 102 było prowadzonych na stopie fabrycznej. Te zakłady wraz z innymi 39 mniejszymi używały razem 84 motorów parowych, 75 wodnych i 27 rozmaitych: gazowych, benzynowych, elektrycznych i t. p. Wszystkie te motory przedstawiają razem siłę 6.917 HP., czyli po około 45 HP przeciętnie na zakład. Zaś bez motorów pracowało 62 zakładów. We wszystkich zwiedzonych zakładach zajętych było razem 10.264 robotników, czyli po około 50 na zakład.

W okręgu stanisławowskiego inspektoratu było wogóle w r. 1904 na stopie fabrycznej prowadzonych zakładów 140; a mianowicie 15 zakładów przemysłu wyrobów ze szkła, gliny i kamienia, 5 przemysłu metalowego, 5 fabrykacyi maszyn i aparatów, 31 przemysłu drzewnego, koszykarskiego i tokarskiego, 4 garbarstwa, 4 tkactwa, 2 przemysłu papierowego, 60 artykułów spożywczych, 18 przemysłu chemicznego i 1 elektrownia. Na stopie rzemieślniczej prowadzonych zakładów wyrobów ubrań i artykułów modniarskich było 1998.

W r. 1904 powstały w okręgu stanisławowskim nowe wielkie zakłady przemysłowe tylko dwa, mianowicie jeden młyn parowy i jeden tartak parowy.

Sprawozdanie inspektoratu, omawiające stosunki bezpieczeństwa robotników, podnosi, że starostwa niechętnie tylko nadsyłają inspektoratowi sprawozdania i wykazy nieszczęśliwych wypadków. Jedno starostwo doprowadziło nawet do tego, że inspektorat po licznych bezowocnych urgensach wreszcie widział się zmuszonym odnieść się ze skargą na owo starostwo do namiestnictwa. W okręgu całym w r. 1904 zdarzyło się przy pracy fabrycznej 427 nieszczęśliwych wypadków, z których 11 skończyło się śmiercią.

W przeważnej liczbie przyczyną wypadków była nieostrożność robotników, którzy nie umieją zrozumieć grożącego im niebezpieczeństwa i o środki ostrożności nie dbają. W pewnym młynie np. wlazł sobie robotnik do zbiornika na grys i położył się spać. Grys zasypał go i udusił. Inspektorat stwierdza, że w stosunkowo licznych zakładach właściciele zaniedbują zapisywania robotników do kasy chorych. Również w wielu zakładach przekraczają ustawowe maximum 11 godzin dziennej pracy, a to głównie w ten sposób, że ukrócają przepisane przerwy. Ekonomiczne położenie robotników pogorszyło się w roku 1904, z powodu drożyzny artykułów spożywczych, a równoczesnej tendencyi właścicieli zakładów przemysłowych do ograniczania produkcyi, a więc i pracy i zarobków, i z powodu, że pewien tartak parowy zatrudniający około 1000 robotników i jedna cukrownia częścią z powodu pożaru, częścią z innych przyczyn wstrzymały ruch. Spalony tartak odbudowano znacznie mniejszym. Zarobki są z powodu tego naogół bardzo małe.

W cegielniach robotnicy akordowi zarabiają po 60 do 80 halerzy dziennie. Ponieważ z takiego zarobku ci ludzie nic na zimę odłożyć sobie nie mogą, tedy przez zimę żyją z zaliczek dawanych im przez właścicieli cegielń. Ten proceder daje wielkie i łatwe pole nieuczciwym ludziom do wyzysku i uprawiania lichwy. W przeciągu roku było 6 strejków, z których pięć wybuchło z powodu żądań podwyższenia płac. Czy strejki te były owocne lub nie, tego nie podaje sprawozdanie. Szósty strejk, który wybuchł w Monasterzyskach, poszedł o to, że robotnicy murarscy żądali, by w soboty i w żydowskie święta nie przerywano pracy, co umniejsza ich zarobek. Strejk skończył się bezowocnie.

Sprawozdanie inspektoratu podpisane jest przez inspektora p. Ludwika Smyczyńskiego.

**Restauracye w Paryżu.** Lekarz, podpisujący się pseudonimem „Dr Ox“, w jednym z ostatnich numerów dziennika *Matin* objaśnia publiczność, jakie wstrętne surogaty jada i pija Paryż. Dowiadujemy się, że do kotletów z siekanego mięsa rzeźnicy paryscy dosypują trocin, wydobytych ze... spluwaczek, że takie trociny mają cenę targową i kosztują po 1½ fr. worek. — Do wina w znacznie większej części od soku winnej macicy wchodzi potaż, wapno, glukoza, tak, że chemia odgrywa dużą rolę w przyrządzaniu win. Z mlekiem dzieje się jeszcze gorzej. Zwyczajna krowa może dawać 6—8 litrów mleka dziennie, krowa „przemysłowa“ daje 20—25 litrów. Aby ją do takiej mleczności doprowadzić, przedsiębiorcy zamykają krowę w ciepłej, zaciemnionej oborze, pozbawiają zupełnie ruchu i żywią wytłoczynami buraków. Przy takim systemie krowa staje się tuberkuliczną, kości jej kruszeją, dostaje egzemy i wodnej puchliny, ale natomiast dostarcza olbrzymiej ilości mleka. Tuberkuły szerzą się też wśród nierogacizny, co już zaalarmowało nabywców amerykańskich w Chicago, gdzie, jak wiadomo, handel nierogacizną prowadzony jest na olbrzymią skalę. Otóż stwierdzono przyczyny: świnie żywione są coraz obficiej obżynkami skór rękawiczkowych, główkami sardynek, chorymi jedwabnikami, zepsutemi flakami zwierzęcemi i tym podobnemi obrzydliwościami. Jajka sprowadzane są z Turcyi, Rosyi, a nawet z Chin, nie w skorupkach, ale rozbite: osobno białka, osobno żółtka w słojach, opieczętowanych szczelnie; ma się rozumieć, do tych naturalnych części składowych dodawane są także domieszki, o tyle tanie, o ile szkodliwe dla zdrowia — Słowem konsument narażony jest co krok na różne niebezpieczeństwa.

**Temperatura** dnia 11 lipca o godz. 7 rano wynosiła: w Galicyi zachodniej +21, we Lwowie +17, w Tarnopolu +18, w Czerniowcach +19, w Wiedniu +21, w Salcburgu +20, w Gracu +19, w Pradze +20, w Tryeście +26, w Abbazyi +23, w Raguzie +26, w Budapeszcie +24, w Berlinie +19, w Hamburgu +17, w Monachium +18, w Zurychu +18, w Genewie +19, w Lugano +22, w Anglii +19, w Paryżu +19, w Biarritz +22, w Nizzy +27, w północnych Włoszech +22, we Florencyi +23, w Rzymie +23, w Neapolu +25, w Palermo +25, w Madrycie +23, w Sztokholmie +18, w Petersburgu +12, w Wilnie +12, w Warszawie +18, w Moskwie +12, w Kijowie +18, w Odesie +23, w Serajewie +16, w Belgradzie +19, w Bukareszcie +29, w Sofii +19, w Konstantynopolu +25, w Atenach +27. (Temperatura według Celsiusza).

Deszcze lokalne przeważnie w Czechach i w krajach alpejskich. W Anglii mgła.

**Stan powietrza.** T. o g. 7 rano + 17 R. w poł. + 18 R. Bar. 764. Spada. Pochmurno.

**Krakowiak.**

Ile listków w lesie na każdej drzewinie,
Tyle niestałości masz w każdej dziewczynie.

**W dużym interesie.**

— Ile też pański prokurent bierze pensyi?

— Trudno wiedzieć w tak dużym interesie, co on bierze. Wiem tylko, że on dostaje sto guldenów.

## Widowiska i koncerty.

**Teatr miejski.** Dziś: „Ludka“, krotochwila z francuskiego Piotra Vebera. — W piątek teatr zamknięty.

**Colosseum** w Pasażu Hermanów. Pierwszorzędny i największy teatr rozmaitości. Od 1 do 16 lipca zupełnie nowy, światowy program familijny. Przedstawienia odbywają się we wspaniale urządzonym ogrodzie, w czasie deszczu w odnowionej sali. Początek o godz. 8 wieczorem. W niedzielę i święta dwa przedstawienia: o godz. 4 pop. i 8 wieczorem.

## Literatura i sztuka.

* **Józef Nawrocki.** „Światło i cień“. (Poezye). Księgarnia polska we Lwowie, 1906.

P. Józef Nawrocki, autor wydanego przed kilku laty tomu poezyi „Strofy“, a którego nową książkę, zatytułowaną „Światło i cień“, mam obecnie przed sobą, jest poetą, zwracającym wielką uwagę w pierwszym rzędzie na t. zw. estetykę słowa. Piękna forma wiersza, jego zewnętrzna barwność i melodyjna giętkość, oto cechy poezyi Nawrockiego, rzucające się wprost w oczy czytelnika. Jest jednak jeszcze i coś więcej, co mile nas ku poecie nastraja, a mianowicie świeżość pomysłów. Poezye Nawrockiego nie są kolorową bańką mydlaną, błyszczącą tylko chwilę przepychem barw słonecznych, one mają swą trwałość architektoniczną (jeśli określenia tego można użyć, pisząc o poezyi), tworzą całość nietylko zewnętrznie piękną, lecz przedewszystkiem sharmonizowaną, w której myśl, obraz i muzyka wiersza dostrajają się w równe linie, dziwnie czyste i szlachetne.

Jest niekiedy w poezyi Nawrockiego umyślnie bardzo zręcznie wprowadzona „naiwność traktowania“ (np. „Dzieci sosen“, „Boże drzewko“ i prześliczne „Karły“) — jest niekiedy majestatyczny symbolizm („Twarz“, „Łódź“, „Cień“) — niekiedy zabrzmi i uczuciowy liryzm („Erotyk“) — na wszystkiem jednak drga piętno indywidualizmu autora i to wyróżnia go korzystnie z pośród szeregów poetyckiej „młodej Polski“.

Dla illustracyi — pozwolę sobie przytoczyć kilka strof z wiersza Nawrockiego p. t. „Dusza brzóz“.

Na tonącej w ogromnej masie śniegu łące
brzozy, srebrne od szronu, stanęły aleją;
w szklannej siatce gałęzi weseli się słońce —
pól dalekie przestrzenie we mgle błękitnieją.

W baśń zmieniły aleję słoneczne igraszki:
włosy brzóz błyszczą mnóstwem igiełek i szpilek,
wśród nich wiszą łyskliwe paciorki i blaszki
jednej z brzóz siadł na włosach srebrzysty motylek.

Warkoczami brzóz wietrzyk potrąca i chwieje,
trą się, sucho szeleszcząc, szronowe paciorki,
sieć paciorków wiatr podniósł, obnażył aleję
i odsłonił falbanki, koronki i wzorki.

Ponad srebrną aleją namiot z seledynu:
niebo — jasnej podobne, mgłą zasnutej łące,
po bezkresnych, śniegowych przestrzeniach się winą
zwiewne jaśnie, w ślad cieni błękitnych chodzące.

Między brzozy, w alei stojące najgęściej,
pośród których powietrze od szronu srebrnieje,
Dusza brzóz, idąc, płaszczem z nitek szronu chrzęści
i oczami z kryształu rozświetla aleję...

Tomik p. Nawrockiego, wydany bardzo wytwornie, zdobią rysunki znanego artysty-malarza z Krakowa, Antoniego Procajłowicza.

*(j. pietrz.)*

## Część ekonomiczna.

**Wiedeń 11 lipca.**

(Z). Tymi dniami uczyniono pierwszy krok do nawiązania pierwszych rokowań z obcemi państwami o zawarcie traktatów handlowych. Oto posłowi austro-węgierskiemu w Bernie szwajcarskiem polecono wręczyć rządowi szwajcarskiemu opis żądań handlowo-celnych, jakie stawia Austrya, i zażądać odeń nawzajem podania listy żądań szwajcarskich. W najbliższych dniach przesłane zostaną listy żądań austryackich rządom: belgijskiemu, bułgarskiemu i rosyjskiemu, po nadejściu zaś ich odpowiedzi zwołana zostanie konferencya handlowo-celna dla zbadania żądań obcych państw, poczem rozpoczną się ustne pertraktacye.

Pomimo znacznego napływu gotówki za kupon lipcowy, gotówka w eskoncie prywatnym drożeje od kilku dni. Powodem tego jest po części ogromne zapotrzebowanie gotówki przez rolników na roboty około żniw, a nadto ta okoliczność, że w Paryżu, gdzie aż do ostatnich dni panował nadmiar gotówki, skutkiem czego banki tamtejsze ulokowały znaczne sumy w Wiedniu i Budapeszcie, obecnie nastało zapotrzebowanie pieniędzy, eskont prywatny podrożał i banki francuskie z całym pośpiechem ściągają swoje wierzytelności z Austryi i z Węgier.

Akcye zjednoczonych fabryk fezów w Strakonicach spadły dziś o przeszło 20 koron skutkiem pogłoski, że pod egidą Unionbanku powstać ma na Węgrzech konkurencyjna fabryka fezów.

## TELEGRAMY „PRZEGLĄDU“

*(Depesze poranne).*

**Paryż.** *Gaulois* zamieszcza interview swego współpracownika z byłym ministrem spraw zewnętrznych, p. Delcassém. Delcassé oświadczył się za zbliżeniem francusko-angielskiem. Zbliżenie się to ma wielką wartość dla Francyi, gdyż uniemożliwia Niemcom wypowiedzenie wojny Francyi. Cóż — powiedział Delcassé — znaczyłaby flota niemiecka w razie wojny, gdyby Anglia była z nami? Cóż miałyby Niemcy ze swych portów, gdyby nastąpiło najzupełniejsze ich zniszczenie. Takie znaczenie ma dobrze przygotowana i obmyślana wizyta floty angielskiej w Brest, a rewizyta floty francuskiej w Plymouth wzmocniłaby jeszcze zbliżenie między Francyą a Anglią. Porozumienie francusko-angielskie i połączenie flot Francyi i Anglii uważać należy za tak straszną potęgę, że ani Niemcy, ani żadne inne mocarstwo nie mogłoby się z nią mierzyć, bo ryzykowałoby, że zniszczonoby je zupełnie na morzu. Porozumienie angielsko-francuskie stworzyłoby lepszy stosunek między Rosyą a Anglią. Następnie przedstawił Delcassé szczegóły z ostatniej rady gabinetowej. Gdy przedstawił swe plany porozumienia francusko-angielskiego, wówczas ministrowie zawołali: Ależ Niemcy mogą nas zaatakować. Delcassé odpowiedział: Niech więc zaatakują, jesteśmy w możności im stawić czoło. W końcu rzekł Delcassé, iż zdaniem jego, zgodzenie się ze strony Francyi na konferencyę w sprawie marokkańskiej jest wielkim błędem.

**Rzym.** *Giornale d'Italia* donosi, że głównodowodzący w Weronie, jenerał-porucznik Goblo otrzymał polecenie powitania Cesarza Franciszka Józefa podczas pobytu jego w Tyrolu w imieniu króla włoskiego.

**Madryt.** Obiega pogłoska, że aresztowany tu anarchista Perez Layra, który podczas pobytu króla Alfonsa bawił w Paryżu, wymienił sprawców zamachu na ul. Rivoli.

**Paryż.** Izba deputowanych na posiedzeniu wczorajszem przyjęła 18 pierwszych artykułów ustawy o obowiązkowem ubezpieczeniu robotników na starość i nieudolność do pracy. Z powodu kilku poprawek dokonanych przez senat, ustawa ta wróciła do Izby.

**Berlin.** *Norddeutsche Allg. Ztg.* donosi, że na posiedzeniu komisyi rady związkowej dla spraw zagranicznych, kanclerz Bülow złożył dłuższe poufne oświadczenie w sprawie wymiany not w kwestyi marokkańskiej między Francyą a Niemcami. Bawarski i saski ministrowie stanu wyrazili ks. Bülowowi imieniem swych rządów zaufanie i podziękowanie za prowadzenie polityki zagranicznej.

**Berlin.** Do *Voss. Ztg.* donoszą z Odessy, iż rząd zamierza zemścić się na żydach za popieranie przez nich ruchu rewolucyjnego. Policya jawnie agituje przeciw żydom. Gubernator odeski do deputacyi robotników, która prosiła go o wsparcie, rzekł: „Idźcie do żydów, tam znajdziecie dość pieniędzy“.

Deputacyi żydów, która udała się do hr. Ignatjewa z prośbą o ochronę, odpowiedział Ignatjew: „Postąpimy z wami według waszych zasad: Oko za oko, ząb za ząb“.

**Łódź.** W sali restauracyjnej hotelu „Manteuffel“ rozegrała się następująca scena: Przy stole siedziało dwóch oficerów kozackich: Polanow i Żełuchin, na pół pijanych. Kiedy do sali wszedł jenerał dywizyi Siwiłow, oficerowie nie ukłonili się mu. Jenerał zbliżył się do nich i zapytał o powód. Na to jeden z oficerów zawołał: „Kiedy buntują się pancerniki, to i my zbuntować się możemy“ — i obaj rzucili się na jenerała i poczęli obrabiać go pięściami. Wezwany przez służbę hotelową, przybył patrol wojskowy, aresztował obu oficerów i odstawił ich do więzienia garnizonowego.

**Katowice.** Do *Kattowitzer Ztg.* donoszą z Łodzi: Większą część kozaków, stacyonowanych w Łodzi, oddano pod sąd wojenny z powodu popełnionych przez nich morderstw i rabunków. Codziennie maszerują przez miasto do więzienia garnizonowego grupy kozaków okutych w kajdany. W koszarach kozackich znaleziono wielką ilość zegarów i biżuteryi, a także i gotówkę, pochodzącą z rabunku.

**Paryż.** *Echo de Paris* donosi, że Murawiew nie będzie pełnomocnikiem pokojowym Rosyi. Car, przyjmując go na audyencyi, miał powiedzieć: „Zdaje się, że jesteś pan bardzo chory. Lepiej, że pan nie pojedzie do Ameryki“.

**Londyn.** *Daily Express* donosi, że jenerał Stössel skazany został na areszt domowy za kapitulacyę Portu Artura.

*(Depesze popołudniowe).*

**Warszawa.** Warszawski sąd okręgowy wojenny skazał Chila Krausego, lat 20, za zamach na policyanta w Łodzi w dniu 15 kwietnia b. r., na śmierć przez powieszenie.

**Częstochowa.** Druga komisya, wbrew uchwale pierwszej, z przed kilku miesięcy, orzekła onegdaj, że prochownia pod Jasną Górą nie grozi tej ostatniej niebezpieczeństwem.

**Ischl.** Prezydent ministrów bar. Gautsch był dziś przedpołudniem na audyencyi u Cesarza. Popołudniu weźmie udział w obiedzie familijnym u Cesarza, a wieczorem odjedzie z powrotem do Wiednia.

**Warszawa.** Onegdaj wieczorem tłum strejkujących robotników zebrał się przed cukiernią p. Waszkiewicza na rogu ulic Kruczej i Hożej i począł rzucać kamieniami. Rozbito okna wystawowe i zniszczono wewnętrzne urządzenie cukierni. Szkoda znaczna. Powodem napadu było, że właściciel odmówił żądaniu strejkujących, aby natychmiast zaprzestał u siebie pracy.

**Petersburg.** Minister marynarki Avellan otrzymał dymisyę. Ministrem marynarki został wiceadmirał Birilew.

**Berlin.** Kanclerz ks. Bülow wyjechał do Norderney.

**Zakopane.** Z powodu, że roboty wodociągowe na drodze do wystawy nie zostały ukończone, komitet uchwalił odroczyć otwarcie wystawy do 20 lipca.



Przyjechali dnia 13 lipca. F. hr. Resseguier i Jul. Venuz z Niska. J. Jarzymowski z Tejsarowa. M. Osowska i J. Stępniowska z Kijowa. A. Szaszkiewicz z Rzemienia. J. Bartosch z Heiligenbergu. K. Drahanowski z Kamionki. K. Longchamps i S. Zdanowicz z Borysławia. B. Listowski z Pluchowczyka. P. Kowalewski z Czerwonogrodu.



Przyjechali dnia 13 lipca. N. Nikorowicz z Ulhówka. J. Zeitlebenowic z Zahajec. L. Gawroński z Drohobycza. M. Leiner, J. Chudzikowski, J. Konieczny i E. Krisch z Wiednia. L. Szekely z Budapesztu. J. Porębski z Kijowa. Z. Moczarski z Dublan. J. Francuzowicz z Rosyi. O. Horodyska z Sambora. K. Oblak z Brodów. K. Toner z Ernsdorfu. S. Bieczyński z Krakowa. J. Szeligewicz z Kałusza. A. Lekczyńska z Remenowa. L. Chmielowski i K. Jasienicki z Dublan. E. Nehaj z Kałusza. W. Bogdański z Przemyśla.



**Wiedeń 13 lipca.** (Giełda towarowa). Cukier 21·50—21·60, na październik i grudzień 21·10—21·20. — Spirytus: 40·80—41·00 (słabszy). Nafta galicyjska bez zmiany.

**Berlin 13 lipca.** (Zamknięcie giełdy). (Podług obliczenia procentowego). Banknoty austryackie 85·20. Spirytus 00·00.

**Paryż 13 lipca.** (Zamknięcie giełdy). Trzyprocentowa renta 99·15. — Mąka („Fleur de Paris“) 31·55.

**Frankfurt 13 lipca.** (Giełda zagraniczna). Kredyty austryackie 207·40. Koleje państwowe 000·00 exclusive kupon. Alpiny 144·60. Disconto 189·40. — Laura 000.00. Usposobienie silne.

**Budapeszt 13 lipca.** (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i za 100 kilogramów). Pszenica na październik 15·44—15·46, na kwiecień 15·98—16·00; żyto na październik 12·60—12·62; owies na październik 11·30—11·32; kukurudza na lipiec 15·20—15·22, na maj 1906 r. 10·70—10·72. — Rzepak na sierpień 24·30—24·50. — Oferty na pszenicę: mierne. — Chęć kupna: słaba. — Usposobienie: spokojne. — Pogoda: ciepło.

**Giełda południowa** (godzina 12 minut 30) Wiedeń 13 lipca.

Marki 117·43, renta majowa 100·30, węgierska renta koronowa 96·60, akcye: austr. zakł. kredyt. 661.00, węg. zakł. kred. 781·00, anglobanku 308,50, unionbanku 540·00, bankvereinu 551,50, länderbanku 450·50, kolei państw. 674·50, lombardy 86·25, akcye kolei Elbethal 449.00, fabryki broni 576·00, tytoniowe 000·00, alpiny 527·25, Rima Muranyi 550·50, prag. Tow. żel. 0000,00, losy tureckie 142·50, ruble 258·00. Usposobienie: spokojne.

**Lwów 13 lipca.** (Z izby handlowej).
Obliczenie w walucie koronowej.
**Akcye** za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika po 400 Koron —.— do —.—. Kolej Lwowsko-Czern.-Jaska po 100 kor. 587.— do 592.—. Banku hipotecznego po 240 Kor. 587·00 do 647.00. Akcye garbarni w Rzeszowie po 400 kor. —·— do —·—. Tow. budowy wagonów w Sanoku po 500 koron — 320. Banku dla handlu i przemysłu po 400 k. do 260·—.

### Ruch pociągów kolejowych.

ważny od 1 maja 1905 według czasu środkowo-europejskiego.

**Przychodzą do Lwowa:**

Z Krakowa: **2.31*, 1.30, 8.40***. 6.00, 8.50, 5.25, 9.50*
Z Rzeszowa: 10.35.
Z Podwołoczysk (na dworzec główny): **2.30**, 7.20, 11.55, 5.30, 10.20*; na Podzamcze: **2.15**, 7.00, 11.34, 5.15, 10.02*.
Z Czerniowiec: **12.20*. 1.40**, 6.10, 5.45, 9.10*.
Z Kołomyi: 10.05.
Z Stanisławowa 8.05.
Z Rawy i Sokala: 7.50.
Z Jaworowa: 8.18, 4.32.
Z Sambora: 8.15, 1.50, 9.20*.
Z Ławocznego 7·29, 11·45, 10·50*.
Z Tuchli 3·45 (od 1/6 do 30/9).
Z Bełzca 5·00.

**Odchodzą ze Lwowa:**

Do Krakowa **12.45*, 8.25, 2.50**, 4.15*, 8.35, 6.35*, 11.00*
Do Rzeszowa: 4.10.
Do Podwołoczysk z dw. głów.: **2.00**, 6.30, 10·55, 9.00*, 11.05*; z Podzamcza: **2.13**, 6.43, 11.15, 9.28*, 11·24*.
Do Czerniowiec: **2.51*, 2.40**, 6.15, 9.20, 10.40*.
Do Stryja: 11.10*.
Do Rawy i Sokala: 7.30*.
Do Jaworowa: 6.55, 5.58.
Do Sambora: 9.00, 4.20, 10.55*.
Do Kołomyi i Żydaczowa: 5.50.
Do Przemyśla, Chyrowa: 10.05* (od 1/5 do 30/9).
Do Ławocznego 7.30, 2.55, 6.25*,
Do Bełzca 11.10.

### Pociągi lokalne.

**Przychodzą do Lwowa:**

Z Brzuchowic: (od 14 maja do 10 września) 6.50, 7.50, 9.5*, przedpołudniem, tylko w niedziele i rz. kat. święta, 1.46, po południu, tylko w niedzielę i rz. kat. święta 3.05, 4.16, 5.00, 7.41*, 8·55* (od 4/5 10/9 włącznie).
Z Janowa: 8.18, 1.15, (od 1/5 do 30/9) 4.32, 8.45* (od 14/5 do 10/9) 9.25* (od 14/5 do 10/9 w niedziele i święta)
Ze Szczerca: 10.10* (od 1/6 do 10/9 w niedziele i święta)
Z Lubienia W.: 11.52* (od 14/5 do 10/9 w niedz. i święta)

**Odchodzą ze Lwowa:**

Do Brzuchowic: (od 14 maja do 10 września) 5.50*, 8.30, (tylko w niedziele i rz. kat. i święta); 12.30. popołudniu (tylko w niedziele i rz. kat. święta) 2.10, 3.20, 6.10, 7.20*, 7.55*.
Do Janowa: 6.55, 9.15, (od 1/5 do 30/9) 1.35 (od 14/5 do 10/9 w niedziele i rz. kat. święta) 3.08, (od 14 maja do 10 września) 5.56.
Do Szczerca. 1.55 (od 1/6 do 10/9 w niedzielę i święta).
Do Lubienia W.: 2.15 (od 14/5 do 10/9 w niedz. i święta).
Do Rawy Ruskiej 11·15* (każdej niedzieli).

**Uwaga.** Pociągi pośpieszne drukowane są literami tłustemi; pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 6 wieczór do 5 min. 59 rano.

24)

## Kradzież miliona funtów.

(Opowiadanie starego kawalera.)

(Ciąg dalszy).

Nie mogłem spełnić programu, zakreślonego mi przez Albinosa, ona mnie bowiem uprzedziła, padając mi w objęcia i zalewając się łzami gorzkiemi; przepraszała mnie w słowach najczulszych za swoją wczorajszą „niegodziwość".

Uspokajałem ją, jak mogłem, ale póty płakać nie przestała, dopókim jej nie upewnił, że żalu do niej nie mam.

— O! mój Jacku! — mówiła, uśmiechając się przez łzy — ty nie wiesz, jakie ja sobie czyniłam wyrzuty, żem była dla ciebie tak okrutną. Powtórz mi raz jeszcze, że mi przebaczasz.

Musiałem powtórzyć to z dziesięć razy, zanim się uspokoiła zupełnie. Gdym wreszcie po nastąpionej zgodzie, oznajmił jej tę nowinę, radość jej nie miała granic.

Juanita obsypała mnie pocałunkami, przemawiając do mnie czule to po angielsku, to po hiszpańsku i nagliła mnie wciąż do pośpiechu, błagając, abyśmy wyruszyli tego dnia jeszcze.

— Jaki ty jesteś dla mnie dobry! — powtarzała. — Ale któryby to statek nająć? Jest „Królowa Oceanów" Phelpa, ale za mała. Jest jeszcze „Alberta", ale ta znowu za duża.

— Ja myślałem o „Muszli Perłowej". Ta w samą mierę, a Jameson sprzedałby nam ją za tanie pieniądze, bo chce kupić nowy statek.

— O! toby było wyśmienicie — zawołała, klaszcząc w dłonie. — Idź zaraz, dobij targu, a będziemy mogli jutro wyruszyć.

Patrzyła na mnie tak błagalnie, że mi serce tajało, i przekonałem się, że ją kocham jeszcze bardziej, niż sądziłem.

— Jutro niepodobna — przedkładałem czarodziejce — trzeba przecież zebrać załogę, kupić prowizye i tysiące rzeczy załatwić, a co ważniejsza, skuner potrzebuje zapewne naprawy, przez pół roku stał bezczynnie, nikt się o niego nie troszczył.

— Więc kiedyż będziemy mogli wyruszyć?

— Najwcześniej pojutrze.

Zmartwiła się w pierwszej chwili, ale odzyskała niebawem humor i wróciliśmy do miasta w jak najlepszej zgodzie.

Pożegnałem ją u drzwi oberży i poszedłem do właściciela „Muszli Perłowej". Wygrzewał się właśnie na słońcu przed swoim domkiem i wyjątkowo był trzeźwy. Zaprosiłem go na kieliszek *ginu*, przyjął propozycyę skwapliwie i dopiero gdy miał trochę w czubku, do interesu przystąpiłem, wypytując go zręcznie o jego skuner.

Ponieważ nie zażywałem na wyspie opinii człowieka bogatego, Jameson był ze mną otwarty i mówił, że jego statek bardzo zrujnowany, że nie nadaje się do dalszej podróży.

— Czyby go pan nie sprzedał? — zapytałem, wysłuchawszy tego wszystkiego.

— Ma się rozumieć. Gotówbym go się pozbyć każdej chwili.

Wpatrzył się przed siebie oczyma szklanemi, wreszcie uderzył pięścią w stół i zawołał, nie przypuszczając, że ma przed sobą poważnego nabywcę.

— Słuchaj-no Jack, tobie oddałbym go za dwieście pięćdziesiąt funtów brzęczącą monetą. To prawie zadarmo, nie sprzedałbym tak rodzonemu bratu, ale ty mi przypadłeś do serca.

Tak często podobną propozycyę na żart mi robił, że ani mu na myśl nie przyszło, abym mógł jej się chwycić, to też osłupiał wprost, gdym mu odparł z całym spokojem:

— Spuść na dwieście, Jim, a kupię i pieniądze na stół wyłożę.

— Ty miałbyś dwieście funtów przy duszy?! — wrzasnął zdumiony.

— Mam — odrzekłem, uśmiechając się pobłażliwie. — A pamiętaj, żeś mi oddawał „Muszlę Perłową" za dwieście pięćdziesiąt funtów. Ja dam dwieście gotówką, jeżeli po obejrzeniu znajdę ją dogodną dla siebie. Chodźmy zaraz oglądać.

Wziąłem go pod rękę i prowadziłem do portu. W pięć minut potem byliśmy już na skunerze.

Obejrzałem go starannie. Odpowiadał moim wymaganiom w zupełności.

— No, i cóż, Jim, dobijemy targu?—rzekłem do właściciela.

— Dobrze, ale za dwieście pięćdziesiąt, ani pół szylinga nie spuszczę.

— Sam wiesz, że nie warta nawet dwustu i że nikt więcej za nią nie da. A zatem namyśl się, bo ja także ani ćwierci szylinga nie postąpię.

Kręcił głową, mruczał, ale wreszcie rozważył, że dwieście funtów piechotą nie chodzi i że dodawszy taką sumę do swoich oszczędności będzie mógł nowy statek kupić. Uderzył się po biodrach i zawołał:

— No, niech i tak będzie, ale wszystkie pieniądze na stół, inaczej niema gadania.

— Sporządź-no tylko akt sprzedaży, a o pieniądze niech cię głowa nie boli. Dostaniesz je za pół godziny i to w złocie.

Rozstaliśmy się; on wrócił do domu, a ja pobiegłem co tchu do mieszkania Albinosa.

— Cóż tam nowego? — zagadnął mnie, poznając z mojej miny, że z jakiemiś wieściami przychodzę.

— Kupiłem skuner „Muszlę Perłową" za dwieście funtów szterlingów.

Spojrzał na mnie podejrzliwie, pokręcił głową i wreszcie rzekł:

— Dwieście funtów, to wcale nie drogo. Potrzeba ci będzie ze sto jeszcze na reparacyę statku i zaopatrzenie go we wszystko, co trzeba.

Wyjął z szuflady woreczek skórzany i podał mi go.

— Weź-to sobie, znajdziesz, ile ci trzeba. Przedewszystkiem przelicz. W woreczku było trzysta funtów złotem.

— No, wszystko w porządku. Ale pamiętaj: ani słówka o mnie twojej kochance. Przysięgnij mi, że nie piśniesz, a ostrzegam cię, że gdyby cię język zaświerzbiał, to pożałujesz tego.

— Raz już dałem słowo, że nie powiem i obietnicy dotrzymam. Jeżeli nie wierzysz, to pieniądze odbierz.

— Nie, nie! — zawołał. — Pokładam w tobie wielką ufność; chciałem tylko się upewnić. A teraz biegnij do Jima i targu dobij.

Chciałem mu dziękować za taką hojność, lecz nie dopuścił mnie do słowa.

Tyle dobrodziejstw od człowieka zupełnie obcego, nieznanego mi przed miesiącem, przejmowało mnie zdziwieniem, a nawet pewną obawą. Nie mogłem poprostu zrozumieć, jaki on ma w tem cel ukryty, a w zupełną bezinteresowność zamiarów coraz mniej wierzyłem.

Jameson otrzymał odemnie całą sumę, zżymał się jeszcze, dowodził, że go podszedłem, że biorę skuner za „psie pieniądze", ale wiem, że był rad w duchu z takiej transakcyi i że na niej wcale nie stracił.

Pozostawiwszy go nad kieliszkiem, zapijającego na „frasunek", poszedłem do Juanity, aby jej o dobitym targu oznajmić.

Radość jej nie miała granic, a była tak zaraźliwą, że i mnie się udzieliła. Nie tracąc czasu, zrekrutowałem załogę i przygotowałem wszystko do podróży.

Nazajutrz rano poszedłem do Albinosa, aby go pożegnać.

Któż opisze moje zdziwienie, gdym go nie znalazł? Nikt mnie nie potrafił objaśnić, gdzie się podział. W mieszkaniu pozostały cztery gołe ściany.

Zdziwiło mnie to bardzo i zwiększyło jeszcze moją nieufność, nie mając jednak czasu nad tem się zastanawiać, odłożyłem rozmyślania na potem i poszedłem zabrać Juanitę.

Żegnano ją w oberży głośnemi lamentacyami, ona zaś nie mogła radości swej ukryć.

O trzeciej po południu wsiedliśmy na pokład „Muszli Perłowej" i wtedy dopiero dowiedziałem się z ust Juanity, dokąd mamy płynąć.

Skuner był statkiem wcale niezłym i zupełnie odpowiednim do takiej wyprawy; kosztowniejszy daleko parowiec nie byłby nam oddał większych usług.

Załoga składała się z Kanaków i kucharza Chińczyka, który nadto pełnił obowiązki stewarta.

Podróż to była prześliczna: przed oczyma naszemi, jak w kalejdoskopie, roztaczały się wspaniałe lasy, góry i skały, opromienione słońcem podzwrotnikowem. Byłem w ciągłym zachwycie i teraz nawet jednego tylko żałuję, a to, że wyprawa ta nie trwała dłużej.

Płynęłem z kobietą czarującą, za którą z dniem każdym bardziej szalałem, miłość nasza, pełna upojeń, rozwijała się na tle najpiękniejszego krajobrazu pod słońcem.

Lecz, niestety, każda chwila zbliżała nas nieubłaganie do celu podróży, aż wreszcie pewnego dnia oznajmiłem Juanicie, że za dobę dopłyniemy do wyspy, zawierającej śmiertelne szczątki jej męża.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Redaktor odpowiedzialny. **Wacław Masłowski.**

Papier z fabryki Braci Fiałkowskich.

Z drukarni E. Winiarza.